

dts²⁴

AGED **15** YEARS

27 lutego 2025 nr 2(645)
gazeta bezpłatna nakład: 20 000*
*obejmuje dystrybucję wersji elektronicznej

Z Makłowiczem dookoła ŚWIATA

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY STRATEGICZNI



Nowy Sącz
Miasto Królewskie



PARTNERZY WSPIERAJĄCY



*Czytelnikom, Reklamodawcom,
Współpracownikom, Przyjaciółom.
Wszystkim, którzy przez
15 LAT
byli z nami, czytali,
współtworzyli,
wspierali, kibicowali,
serdecznie dziękujemy*

**WYDAWNICTWO
DOBRE**



GreinCare

NOWA FARBA Z PAZUREM!



 **Greinplast®**

greinplast.pl



Tym, którzy nie boją się realizować marzeń

Moje zadanie było bajecznie proste. Należało rano wstać i machnąć 1800 znaków wstępniaka do urodzinowego wydania DTS. Bułka z masłem w karnewałowym klimacie. Ma być radośnie, optymistycznie, pozytywnie i z uśmiechem. Przecież na kolejnych stu stronach tego wydania mnóstwo frapujących opowieści i bohaterów godnych opisanie. Na dodatek wiemy, że nasi Czytelnicy lubią nieoczywiste opowiadania, zdecydowanie dłuższe niż 30-sekundowy film. Poza tym to są nasze 15. urodziny, więc w ramach jubileuszowego bankietu zaserwować musimy solidną porcję czytania. I nie przeraża nas zasłyszana gdzieś opinia, że długich tekstów to dzisiaj nikt nie czyta. Zasłyszana milion razy, ale przecież ludzie na mieście różne rzeczy gadają. Oczywiście ktoś może przytomnie zapytać, jak to urodzinowy DTS już w lutym, skoro pierwszy numer ukazał się 30 września 2010 r. To akurat proste – chcemy przez cały rok zaskakiwać Czytelników niespodziankami, więc po co czekać do września. No więc moje zadanie miało być bajecznie proste, a tutaj...

Połowa lutego. Kto dzisiaj przeglądał doniesienia z kraju i ze świata, ma z grubsza dwa wyjścia. A – urznąć się w trupa. B – zgłosić się na ochotnika do domu wariatów. Ale obawiam się, że nie ma takiego schronu, gdzie by można się skutecznie zadekować. Jak przeczekać zbiorowe szaleństwo? Ono się dopiero rozkręca i zanim ten DTS trafi



do Czytelników, będzie jeszcze gorzej. Jeśli macie wrażenie, że za chwilę pięknie Wam głowa od globalnego jazgotu, to... z grubsza macie dwa wyjścia. Ale to już wiemy jakie.

Połowa lutego. Zima trzyma. Emerytowany aktywista zamęcza świat codziennymi analizami politycznymi na FB. Gdyby wcześniej przyszła wiosna, to by chociaż mógł skopać ogródek. Niestety mróz nie odpuszcza, więc kopie ludziom w beretach. Sorry, taki mamy klimat. I już nawet nie o ten mróz chodzi. Raczej o ochłodzenie tak zwanych relacji międzyludzkich. No i pisz tu człowieku optymistyczny wstępniak do 645. wydania DTS, które ma zainaugurować 15. rok naszego dla Was pisanie. I nagle, kiedy już znikąd nie widać nadziei na przegonienie czarnych chmur, jak ostatnia deska ratunku, jak słynny brzytwa, której tonący się chwyta, wpada mi list Czytelniczki, który publikujemy kilka stron dalej: „Wbrew tendencji, która zdaje się dominować w mediach, nasz DTS nie boi się dobrych informacji (...), dzięki czemu odpoczywam od lansowanego przez wiele mediów wrażenia, że zewsząd otacza nas jedynie spisek, korupcja, niekompetencja i marazm. Czytam, że podobnie jak ja, ludzie mają plany, marzenia, pomysły i wielu z nich udaje się je realizować”.

I niech tak zostanie. Tę gazetę dedykujemy tym, którzy mają plany, marzenia, pomysły i nie boją się ich realizować.

WYDAWNICTWO DOBRE

WYDAWCA:

Wydawnictwo DOBRE Sp. z o.o.
33-300 Nowy Sącz
ul. Żywiecka 25
ISSN 2082-209X

REDAKCJA:

„Dobry Tygodnik Sądecki”
www.dts24.pl
tel. 18 544 64 41
redakcja@dts24.pl

REDAKTOR NACZELNY

WYDAWNICTWA DOBRE:

Wojciech Molendowicz
w.molendowicz@dts24.pl

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO

DS. GAZETY DTS:

Jolanta Bugajska
j.bugajska@dts24.pl

DYREKTOR BIURA REKLAM

I OGŁOSZEŃ:

Katarzyna Magiera
k.magiera@dts24.pl
tel. 530 032 633

BIURO REKLAM I OGŁOSZEŃ:

Bożena Baran,
b.baran@dts24.pl
Beata Ziemia,
b.ziemia@dts24.pl,
tel. 889 020 766

DYREKTOR PIONU AUDIO-VIDEO

Piotr Gorzawski

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:

Adam Nowakowski
adsnowa@gmail.com

DYREKTOR DS. KOLPORTAŻU:

Mateusz Węglowski-Król,
tel. 665 270 230

DRUK:

Drukarnia SOLUT Sp. z o.o.
ul. Jeremiego Wiśniowieckiego 114
33-300 Nowy Sącz



WYDARZENIA SPECJALNE
!WOW!



STOWARZYSZENIE
DOBRE

ZACZAROWANY OŁÓWEK **AGENCJA KREATYWNA**

GHOSTWRITER

NOWY SĄCZ
NAROWERY

MAK-REST

wprowadził
obieg zamknięty
papieru w swoich
restauracjach



Zapraszamy do restauracji:

- Nowy Sącz, ul. Piłsudskiego 6
- Nowy Sącz, ul. Lwowska 80
- Nowy Sącz, ul. Wincentego Witosa 108
- Stary Sącz, ul. Jana Pawła II 77a



jutro
zależy
od nas

W NUMERZE



13

NIE MARTW SIĘ KOLEGO... Rozmowa z Mateuszem Bierytem z Jazowska, otworcą postaci Władysława Frasyniuka w spektaklu „1989”.

MOJA DROGA JA CIĘ KOCHAM! Piosenkę Bobby Vintona nuciła cała Polska. Korzenie jego rodziny prowadzą w okolice Gorlic.

21



26

PATAGOŃCZYK W KOTLINIE SĄDECKIEJ. Dlaczego Diego Umaña, ultramaratończyk z Argentyny wybrał Nowy Sącz.

CZŁOWIEK, KTÓRY OGOLIŁ „FRYZJERA” Jak dziennikarz z Limanowej Antoni Bugajski pomógł rozbić piłkarską mafię?

31



38

NOWY KRÓL POLSKIEJ SKOCZNI? Paweł Wąsek skacze coraz dalej z logo firmy WIŚNIEWSKI.

W NUMERZE

45

PIĘTNAŚCIE WYDARZEŃ NA 15 LAT DTS.
Nasz subiektywny ranking urodzinowy.



51

CENA ZA ŻYCIE JANA KARSKIEGO.

Co zawiera dziewięć kartek maszynopisu Wandy Ryś?



78

ŁĄDOWAŁAM NA LAMPEDUSIE POMIĘDZY BURZAMI. Małgorzata Berndt (Stukus) przekonuje, że macierzyństwo i lotnictwo są sporym wyzwaniem.



90

Z MAKŁOWICZEM DOOKOŁA ŚWIATA.

Rozmowa z Przemysławem Osuchowskim, współtwórcą programów kulinarnych.



104

WSZYSCY LUDZIE DTS.



**ZAMIESZKAJ NA ZIELONYM OSIEDLU
8 KM OD CENTRUM KRAKOWA**

Ceny już od **7067 zł** za m²



www.akopol.com

tel: 12 648 42 30



AKOPOL sp. z o.o.
spółka Politechniki Krakowskiej

**GŁÓWNE ATUTY REALIZOWANEGO OSIEDLA
W BIBICACH**

- OGRZEWANIE PODŁOGOWE I C.W.U. Z POWIETRZNEJ POMPY CIEPŁA RENOMOWANEJ FIRMY VISSMANN;
- MIESZKANIA NA PARTERZE Z PRZYNALEŻNYMI DO NICH OGRÓDKAMI;
- MIESZKANIA NA PIĘTRZE DWUKONDYGNACYJNE Z DUŻYM BALKONEM;
- WENTYLACJA MECHANICZNA Z REKUPERACJĄ FIRMY VISSMANN;
- INSTALACJA FOTOWOLTAICZNA POLSKIEJ MARKI;
- ZWIĘKSZONA MOC ENERGETYCZNA W KAŻDYM LOKALU UMOŻLIWIĄCA ŁĄDOWANIE POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH Z GNIĄZDEK DOMOWYCH ORAZ OSIEDLOWA INFRASTRUKTURA ENERGETYCZNA DO MONTAŻU STACJI ŁĄDOWANIA POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH;
- TERENY ZIELONE DOOKOŁA OSIEDLA.

**Zobacz
lokalizację
osiedla**





**Teraz,
teraz, teraz**

BARTOSZ SZAREK

Mnich i łódka

Na co dzień jestem jak ten mnich z przypowieści N.K. Sondheimiego. Moje jezioro,

na środku którego zacumowałem łódź, by zamknąć oczy i pograć się w medytacji, to spokojna tafla gatunków muzycznych, które znam i w których czuję się bezpiecznie. Jazz jest dla mnie umysłem – rozmową z samym sobą. Rock – tętniącym sercem, które nie boi się zrywów. Oba gatunki pozwalają dryfować po znanych mi wodach – w rytmach, które sam wybrałem.

Jednak pewnego dnia coś drgnęło – nieoczekiwana łódź uderzyła w moją. Sie-działa w niej Maja Matusiak otoczona dźwiękami z „Nine Hundred Ninety-Nine”, które zburzyły mój spokój i otwo-rzyły oczy. Choć nigdy nie byłem szczególnym fanem tego rodzaju muzyki, ze względu na jej chłód, nadprecyzyjność i zbyt syntetyczną naturę, płyta Mai zdawała się być czymś z innego świata. Czymś obok, czymś pomiędzy – oniryczną hybrydą. Tańczące bity, ambien-

towe pejzaże, filmowość, pulsujące elektroniczne serce i ten wokół unoszący się nad całością jak nieuchwytna mgła przeniosły mnie w zupełnie nowy wymiar. Zrozumiałem, że moje z góry przyjęte przekonania o „mojej muzyce” były niczym kotwica – przyciężką reakcją na to, czego w tamtym momencie jeszcze nie rozumiałem.

Maja Matusiak to porywaczka łódek. Zepchnęła mnie z bezpiecznego kursu, zmuszając do wsłuchania się w coś innego, coś, co w mojej odwiecznej muzycznej podróży dotąd omijałem. Co więcej – pokochałem to nieoczekiwane spotkanie. Nie wiem jeszcze, czy na stałe zagości w mojej playliście, ale jedno wiem na pewno: gdy kolejna, obca i niepodobna do mojej łódź uderzy ponownie, nie zareaguję brakiem reakcji. Spójrz uważniej, kto w niej siedzi, a może nawet zaproszę na pokład.

Powiedzieli o DTS:



Każdy numer „Dobrego Tygodnika Sąddeckiego” staram się przeczytać „od deski do deski”. Choć tak naprawdę powinien się on nazywać Najlepszym Tygodnikiem Sąddeckim. To świetna gazeta, z artykułami na wysokim poziomie, o który trudno w dobie dzisiejszej, dość powszechnej „bylejakości” dziennikarstwa.

BARTŁOMIEJ ORZEŁ

„Dobry Tygodnik Sąddecki” można lubić lub nie, ale na pewno nie można przejść obok niego obojętnym. DTS nie ma sobie równych na sąddeckim rynku wydawniczym. Konkurencję dystansuje przede wszystkim nowoczesnym i atrakcyjnym dla czytelnika layoutem. DTS chce się po prostu jak najszybciej wziąć do ręki.

**TOMASZ
MICHAŁOWSKI**

Wbrew tendencji, która zdaje się dominować w mediach, nasz DTS nie boi się dobrych informacji. Jako czytelnik dowiaduję się od Was faktów z mojego najbliższego i regionalnego otoczenia.

Jest wśród nich dużo pozytywnych informacji, dzięki czemu odpoczywam od lansowanego przez wiele mediów wrażenia,

że zewsząd otacza nas jedynie spisek, korupcja, niekompetencja i marazm. Czytam, że podobnie jak ja, ludzie mają plany, marzenia, pomysły i wielu z nich udaje się je realizować.

**MAŁGORZATA
BRODA**

Wypowiedzi z urodzinowego wydania DTS z 2016 r.

Umarł mi Tato

Mi (mnie, mój, choć przecież nasz). Tato (tata, tatko, tatu-lek). Umarł (zasnął, zwyczajnie, po śniadaniu, zdrzemnął się, takie wieczne odpoczywanie...). Umarł mi Tato. I piesce też. Nasza beagielka leży teraz zwinięta w kłębek niczym kotka i czujnie podnosi uszy na każdy dźwięk tętniący w tej nowej ciszy. Nadśluchuje. Czeka na znajome kroki. Czeka na jedyne w swoim rodzaju drapanie za uchem i pieszczotliwe pociąganie figlarnego ogonka. Czeka... Tego się nie robi piesce...

Jakże rzadko rozmawiamy o śmierci. Chowamy głowy

w poły płaszcz frazesów. Uciekamy od problemu. Zmieniamy wątek. Bo nie wiadomo, jak się zachować. Bo można urazić (swoją świętą spójność). Bo można dotknąć (trudnej kwestii). Boimy się. Śmierć stała się największym tematem tabu współczesnego świata. Przecież nie ma nic wspólnego ze sztucznym instagramowym pięknem i szerokim wystudowanym uśmiechem w kadrze, nie wpisuje się w język reklam oferujących spełnienie i błogość, nie ma w sobie estetyki, wdzięku, uroku. Lepiej ją przemilczeć. Lepiej obchodzić z daleka, na paluszkach. Żeby przypadkiem się nią „nie zarazić”, żeby nie dotknęła czułego jądra naszej banalnej egzystencji. A przecież „Śmierć i narodziny to awers i rewers monety o nazwie życie”. I nic nas bardziej nie dotyczy.



Bez tuszu

JOLANTA
BUGAJSKA

Po narodzinach tylko jednego możemy być pewni - niepewnej śmierci.

Umarł mi Tato. I nic nie jest jak dawniej.

Kartki z kalendarza DTS

10 listopada 2010

do gazety dołączyliśmy płytę CD „Piosenki naszych żołnierzy”, nagrałą przez „Korzeń z kraju Melchizedeka”. Inspiratorem nagrania płyty z najbardziej znanymi polskimi piosenkami żołnierskimi był nasz felietonista, jezuita o. Fabian Błaszczewicz.

20 września 2012

po raz pierwszy na naszych łamach ukazał się lista 100 firm napędzających sądecką gospodarkę przygotowana z Fundacją „Pomysł o przyszłości”.

23 stycznia 2014

pojawił się pierwszy numer „DTS Senior” – specjalny comiesięczny dodatek współtworzonego przez studentów Uniwersytetu III Wieku w Nowym Sączu.

13 czerwca 2014

w piątek (trzynastego) w Galerii Handlowej Trzy Korony odbył się wernisaż prac rysownika, satyryka i od początku współpracownika DTS – Marka Stawowczyka.

8 czerwca 2017

młodzi z PWSZ napisali gazetę, czyli „Dobry Tygodnik Studencki”. Część z tej młodej ekipy została w redakcji DTS do dziś.

4 czerwca 2020

500. wydanie uczyniliśmy świętem dziennikarzy, nie tylko zresztą sądeckich. Specjalnie na tę okazję napisali dla nas najlepsi małopolscy autorzy, związani wcześniej z DTS. Od tego wydania zmieniliśmy też szatę graficzną.

URODZINOWE LICZBY DTS

2 zł – kosztowały pierwsze numery „Dobrego Tygodnika Sądeckiego”, który od stycznia 2011 r. ukazuje się już jako gazeta bezpłatna

120 – stron liczył najobszerniejszy numer DTS (DTS na Olimpiadę w Paryżu z 26 listopada 2024 r.), tuż za nim plasuje się wydanie DTS 400+ z 28 czerwca 2018 r. (112 stron) i DTS Biznes z 21 listopada 2024 r. (108 stron)

645 – numerów DTS ukazało się przez 15 lat jego istnienia

50 000 – egzemplarzy liczył rekordowy papierowy nakład DTS. Numer ukazał się 16 czerwca 2019 – 20 lat od pamiętnej wizyty papieża Jana Pawła II na starosądeckich błoniach, a my przypomnieliśmy to wydarzenie w specjalnym wydaniu.

78 879 – Czytelników sięgnęło po wydanie online najpoczytniejszego numeru – DTS Biznes z listopada 2024 r.



BetaVerse

ADAM
NOWAKOWSKI

Dlaczego średnia kawa nie istnieje

„Łatwiej jest oszukać ludzi,
niż przekonać ich, że zostali
oszukani.” - Mark Twain.

„Nie, mnie to nie dotyczy. Wiem, co robię. Nie dam się zmanipulować.” Brzmi znajomo? Każdy z nas ma w sobie trochę tego pewnego siebie klienta, który z dumą wybiera „to, co chce”, wierząc, że podejmuje decyzję w pełni autonomicznie. Wejdźmy na chwilę do Twojej ulubionej kawiarni. Zobaczmy, jak wygląda Twoja niezależność.

Trzy opcje i żadna z nich przypadkowa.

Oto masz do wyboru: 200 ml kawy za 9,90 zł, 350 ml za 13,90 zł i 500 ml za 14,90 zł. Już na pierwszy rzut oka widać, co wybrać – przecież duża kawa to najlepszy

interes. Dopłacasz tylko złotówkę do średniej, ale dostajesz aż o 150 ml więcej! Ekonomia krzyczy: „To się opłaca!” W głowie już czujesz satysfakcję, że przechytryłeś system.

Efekt przynęty: dlaczego średnia kawa istnieje?

Nie zastanawia Cię, dlaczego opcja „średnia” wygląda tak mało atrakcyjnie? To nie przypadek. Średnia kawa za 13,90 zł nie została umieszczona w menu po to, byś ją kupił. Jej rolą jest sprawić, by największa opcja wyglądała na bezkonkurencyjną. Ma być tam tylko po to, byś spojrzął na dużą i pomyślał: „Wow, za złotówkę więcej dostaję! O wiele więcej!” To klasyczny efekt decoy, czyli przynęty. Twórcy menu chcą, żebyś wybrał największą kawę, a średnia jest jedynie sprytnym haczykiem. I wiesz co? Działa.

Psychologia ceny: 14,90 brzmi lepiej niż 15.

Oczywiście, cena 14,90 zł to kolejny majstersztyk manipulacji. Gdybyś zobaczył „15 zł”, zastanowiłbyś się dwa razy – przecież to już „prawie dużo”. Ale 14,90? To prawie 14. I nagle wybór dużej kawy przestaje być ekstrawagancją, a staje się racjonalną decyzją. Jakbyś oszczędzał, choć tak naprawdę wydajesz więcej, niż planowałeś.

A co z małą kawą?

Mała kawa za 9,90 zł to w ogóle inny świat. Istnieje tylko dla tych, którzy przychodzą z myślą: „Nie dam się naciągnąć!” Ale nawet wtedy coś się zmienia. Widzisz ceny średniej i dużej i myślisz: „Kurczę, jednak mógłbym dopłacić do dużej, bo mała to chyba jednak za mało.” I oto magia działa – zrezygnowałeś z oszczędności, wybierając coś, co wydaje się rozsądniejsze. Ale czy rzeczywiście było?

Nie, Ty się nie dasz zmanipulować

Mówisz, że takie sztuczki na Ciebie nie działają. Wierzysz, że wybierasz „świadomie”. Ale w rzeczywistości jesteś jak

każdy z nas – częścią większego eksperymentu, który marketing przeprowadza codziennie, w każdej kawiarni, sklepie czy aplikacji. Jesteś ofiarą „nudges”, drobnych szturchnięć, które prowadzą Cię dokładnie tam, gdzie chcą. Nawet jeśli wierzysz, że to Ty trzymasz ster.

Sztuczka, która zmienia wszystko

Ale co, jeśli chcemy, byś tym razem wybrał coś innego? Wystarczy niewielka zmiana w prezentacji opcji, by kierować Twoje decyzje w zupełnie nowym kierunku. Wyobraźmy sobie, że ktoś chce zmienić Twoje zachowanie. Spróbujmy tak zaprojektować menu, byś tym razem wybrał średnią kawę. Jak to zrobić? Bardzo prosto. Wystarczy, że zmienimy ceny i proporcje: mała kawa: 150 ml za 8,90 zł, średnia kawa: 350 ml za 13,90 zł, duża kawa: 500 ml za 19,90 zł. Co teraz? Mała kawa jest tańsza, ale wydaje się „za mało”. Duża kawa wygląda na przesadnie drogą – prawie 20 zł za kawę? Przecież to absurd! I oto średnia opcja, która kosztuje 13,90 zł, jawi się jako idealny kompromis: w sam raz pod względem wielkości i ceny. To efekt awersji do ekstremum. Naturalnie unikamy skrajności, szukając bezpiecznego środka.

Decyzje, które już ktoś za Ciebie podjął

Jeśli takie proste sztuczki mogą działać przy wyborze kawy, gdzie wszystko jest na widoku, to co dzieje się wokół Ciebie każdego dnia? Jakie mechanizmy wpływają na Twoje wybory, kiedy nawet nie zdajesz sobie sprawy, że coś Cię popycha w konkretną stronę? Marketing jest wszędzie. W aplikacjach, na billboardach, w mediach społecznościowych. Codziennie ktoś walczy o Twoją uwagę, manipulując Twoimi decyzjami – od tego, co jesz, po to, na kogo głosujesz. Więc zanim znowu powiesz „mnie to nie dotyczy”, spójrz na swój koszyk w sklepie i pomyśl, kto go naprawdę zapakował.

Palcem po mapie

Po meczu na „bunkrze” postanowiliśmy się przejść. Minęliśmy „Zagon” oraz „Maniusia” i zatrzymaliśmy się przy starym MOK-u. Stwierdziliśmy, że na „Jedynce” kupimy oranżadę i wypijemy ją pod „Nierobem”. Napojeni wstąpiliśmy do „Wdówki” i pod „Piątkę”, ale nie znalazłszy interesującego nas asortymentu postanowiliśmy iść do „Waśki” po „Jacka”. Stojąc pod dawnym „Batą”, zastanawialiśmy się, czy skręcić w kierunku „Wydrzanki”, czy w stronę „Wenecji”. Wybraliśmy ten drugi kierunek, ale kiedy okazało się, że nie ma tam nic ciekawego, mijając starą „Prowincjonalną” wróciliśmy pod

„nasienny”, a stamtąd przeszliśmy obok „Świetlicy”, „Kosalówki”, skręciliśmy pod „Trupka”, minęliśmy dawną „Dagną” i zbiegliśmy „szpitalną górką” pod fabrykę Rossmannitha. Tam rozważaliśmy, czy iść na „przekątnik”, czy na „skałki”? Uznaliśmy, że może lepiej udać się w kierunku cegielni Chwaliboga. Wybraliśmy trasę obok „Kokosanki”. Gdy byliśmy już niedaleko, zmieniliśmy zdanie i poszliśmy na Aleksandrówkę. Po krótkim odpoczynku zamówiliśmy taksówkę i kazaliśmy się zawieźć pod „Praktyczną Panią”. Stamtąd przeszliśmy pod dawne „Bufory”, następnie zawróciliśmy, obok „blaszaka” skręciliśmy na „Słoneczko” i na koniec postanowiliśmy wytyczyć nowosądecki „szlak hańby”, od „Akwarium”, przez „Absolwenta”, „Czarną Wdowę”, „JazzGot”, „Cechową”, aż po „Szafę”. I tak wróciliśmy



Pije Kuba do Jakuba

JAKUB BULZAK

do punktu wyjścia.

I jak, „wierni Sądcażanie”? Przejechalibyście palcem po mapie całą tę trasę?

„Przemija postać tego świata...” – co nie?

Dacie wiarę, że legendarny rysownik gazety Marek Stawowczyk szalał już po sądeckich szpaltach ponad 25 lat temu! Mamy na to dowody i nie zawahamy się ich użyć.

I to w oryginale. Czyli w wersji czarno-białej. A działo się to w czasach, zanim jeszcze Stawowczyk nabył w sklepie papierniczym kolorowe kredki. Choć zapomniał zabrać faktury i redakcja za kredki mu nie zwróciła, to inwestycja ta okazała się dla Marka raczej korzystna. Potem oczywiście pojawił się specjalny program komputerowy do rysowania, ale my dzisiaj wracamy do korzeni i reproduujemy Stawowczyka w czarno-białym oryginale. Przez chwilę będzie

Z TECZKI RYSOWNIKA

Lokujcie w Stawowczyka

\$ \$ \$

trochę jak w niemym kinie. Oto Marek Stawowczyk wyborczy z czasów, kiedy jeszcze ani PiS ani PO nie było nie świecie.

I na koniec banalne oczywiste zdanie: Stawowczyk im starszy, tym lepszy. Rysunek przeleżał w teczce na redakcyjnym regale jakieś 25 lat i tylko zyskał na smaku i wartości. Kolekcjonerzy, inwestujcie w Stawowczyka, lokujcie w jego kreskach nie tylko uczucia, ale też pieniądze. Przyniosą Wam owoc obfity!

(rys)





Nowa era bram garażowych

Pierwsza brama **SMART** w standardzie

5
lat
gwarancji

Łączy to, co najlepsze



www.wisniowski.pl

ROMOWA Z MATEUSZEM BIERYTEM, AKTOREM TEATRU SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE.

Nie martw się KOLEGO...

Wychowanek I LO w Nowym Sączu. Odtwórca postaci Władysława Frasyniuka w legendarnym już spektaklu „1989”, wystawionym 165 razy. Kompozytor z własną płytą na koncie. W lipcu 2023 r. spalił się jego rodzinny dom w Jazowsku. Pomogli go odbudować dobrzy ludzie.

- Zaczniemy od najnowszych wydarzeń. Jest Pan tuż po premierze „Australii” w Teatrze Słowackiego.

- W ogóle wyjątkowo dużo się teraz dzieje. W styczniu byłem w Gdańsku, żeby zagrać spektakl „1989” i pożegnaliśmy „Lalkę” – jeden z moich pierwszych tytułów na Dużej Scenie Teatru Słowackiego. Spektakl w reżyserii Wojtka Klema zagraliśmy po raz 50. i ostatni. Z dużym żalem pożegnaliśmy się z tym tytułem, bo to była piękna i udana praca, a ten tytuł miał premierę już pięć lat temu.

- Spektakl i Pana rola ewoluowały po tylu przedstawieniach?

- Na pewno. Oczywiście ja się zmieniłem. W chwili premiery miałem 27 lat, niedawno skończyłem 32. Wiele się w tym czasie wydarzyło w moim życiu, prze-



MATEUSZ BIERYT FOT. BARTEK BARCZYK

kroczyłem barierę trzydziestki. Inaczej myślę o wielu rzeczach, inaczej chcę o nich opowiadać. Przez ostatnich pięć lat też wiele się działo na świecie: wojna,

pandemia... I nagle okazało się, że „Lalka”, która w 2018 r. rezonowała z tamtą rzeczywistością, teraz ma zupełnie inny wydźwięk. Zresztą to właśnie jest piękne

w teatrze, że można w nim znaleźć ciągle różne odnośniki.

- Wracając do „Australii”...

- Wszystkie próby generalne tego przedstawienia były otwarte, bo chcieliśmy doświadczyć spotkania z widzami. W tym projekcie doświadczenie widzów jest trochę szersze niż zwykle w teatrze. Widzowie są nieodłączną częścią tej historii, są konfrontowani z czymś nieznanym. Akcja toczy się w terminalu C najnowocześniejszego lotniska w Polsce. Funkcjonuje tam system obsługi pasażerów o nazwie Terminus. Pewna rodzina – ojciec, matka, syn i córka – przyjeżdża na lotnisko i chce za wszelką cenę jak najszybciej stamtąd się wydostać i polecieć do Australii. A dlaczego? Niech to będzie niespodzianka dla widzów.

- Ciąg dalszy
następna strona

- Dla Pana też coś było tu niespodzianką?

- Tak, nawet sporo. To spektakl dyplomowy młodego reżysera Tadeusza Pyrczaka, laureata 13. Forum Młodej Reżyserii. Dlatego ten projekt jest takim świeżym i ciekawym dla mnie spotkaniem ze zdolnym, wschodzącym reżyserem. Zaskakujący i ciekawy jest też zastosowany tu pewien zabieg w obsadzie: młodsza część gra rodziców, a starsza – dzieci. Ja gram ojca. Tadeusz zaproponował taką wymiankę i od razu mnie to zaintrygowało. Były dwie opcje: albo zagram rozwydrzonego syna, albo zagram dość koszmarnego ojca. Koszmarnych synów grałem już wielokrotnie, ale koszmarnego ojca – nigdy. Wszedłem więc w to w ciemno.

- I komu pan odczuje?

- Marcie Walderze i Jerzemu Światłowi. Jerzy to mój fantastyczny starszy kolega, z którym nie pierwszy raz spotykamy się na scenie. A moja żona w tym spektaklu, Julia Latosińska, w przedstawieniu „1989” gra moją córkę. Mocno to wszystko namieszane.

- A jaką rolę gra publiczność?

- Jest obsługą lotniska, a my pasażerami, którzy oczekują

na odprawę.

- Tadeusz Pyrczak jest laureatem konkursu FMR, Pan zaczynał karierę od niezliczonych konkursów wokalnych.

- Nim znalazłem się w szkole teatralnej, Teatrze Słowackiego, Krakowie, jako nastolatek przemierzyłem Polskę wzdłuż i wszerz, jeżdżąc po przeróżnych konkursach. Zaczynałem jako piętnastolatek, pierwsze podejścia miałem na młodzieżowo-dziecięcych konkursach piosenki, potem zrobiłem zwrot w kierunku piosenki artystycznej.

- Czyli jakiej?

- Tak najprościej mówiąc, dla mnie to była taka piosenka, w której tekst, opowieść, kontekst i koncept były nie mniej ważne niż kompozycja i jej wyśpiewanie. W każdym razie brałem udział w kilkudziesięciu konkursach i to mnie bardzo dużo nauczyło. Kiedy to po maturze dostałem się do szkoły teatralnej, nawet nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie dzięki konkursom, warsztatom, wyjazdom mam już niemałe doświadczenie, obycie sceniczne, spokój w konfrontacji z widzami. Pomogło mi to zająć się istotą studiowania aktorstwa, poszerzania swojej świadomości w tej dziedzinie

sztuki. Może to obycie z widzami od najmłodszych lat sprawia, że obecnie przed spektaklami i koncertami raczej nie zjada mnie stres. Zawsze jest to przeżycie, któremu towarzyszy adrenalina i coś, co jest bardziej podekscytowaniem niż trema. No chyba że byłbym nieprzygotowany, ale do tego staram się nie dopuszczać.

- Od premiery w 2022 r. „1989” pobili rekordy popularności – na polskich scenach i w Teatrze Telewizji.

- Ta przygoda trwa już 2,5 roku. Bardzo długo zajmowałem się głównie tym spektaklem. To historia w wielu rozdziałach. Po pierwsze pojawiła się niezwykła idea zrobienia spektaklu, jakiego jeszcze nie było – rapowanego musicalu o Solidarności. Od początku wierzyłem w ten pomysł. A jak już zostałem obsadzony w tym spektaklu, to zaproponowałem, że może napiszę partie śpiewane. Współtworzyłem więc w tym spektaklu muzykę, prowadziłem zespół wokalny i kreowałem rolę. Premiera i wszystko, co wydarzyło się później, przeszło nasze wszelkie oczekiwania. Przez pierwszy rok zagraliśmy kilkadziesiąt spektakli. Potem spędziliśmy z musicaliem kolejny sezon i zaczęliśmy pracować nad

płytą. Kolejny etap to zagranie na żywo w Teatrze Telewizji, presja i świadomość, że przed telewizorami siedzi bańka ludzi.

- Ponad dwa lata skupienia na jednym projekcie nie męczy?

- Ten czas był ekscytujący, emocjonujący, ale też trudny. Po paru miesiącach tego szalonego życia zdarzyłem się z prawdziwym zmęczeniem materiału. Ale ważniejsze było poczucie satysfakcji i dumy. Każdy zaangażowany w ten projekt miał w nim swoje miejsce i dołożył cegiełkę do naszego wspólnego sukcesu. Oba teatry, Teatr Słowackiego z dyrektorem Krzysztofem Głuchowskim i Teatr Szekspirowski w Gdańsku z dyrektorką Agatą Grendą. Reżyserka Katarzyna Szyngiera, autor muzyki Andrzej „Webber” Mikosz, twórcy scenariusza Marcin Napiórkowski, Katarzyna Szyngiera i Mirek Wlekły. Mogę tak wymieniać bez końca... Stworzyliśmy z kolegami z ekipy zgraną paczkę. Regularnie jeździmy razem ze spektaklami po Polsce, spędzamy ze sobą mnóstwo czasu. Funkcjonujemy jak zespół muzyczny w trasie, jak rock'and'rollowy band.

- Gra Pan Władysława Frasyniuka. Znał Pan wcześniej jego historię?

- Przed napisaniem scenariusza twórcy spektaklu przez półtora roku jeździli do jego bohaterów, działaczy Solidarności, i rozmawiali z nimi. Władysław Frasyniuk opowiadał im o Solidarności, o sobie i swojej rodzinie w tamtym czasie. Kiedy więc przygotowywałem się do roli, dostałem konkretne materiały – nagrania ośmiu godzin rozmów z nim. Wcześniej oczywiście miałem świadomość, co wydarzyło się 35 lat temu, wiedziałem, że nastąpił przełom i co przyniosł. Ale nie miałem pojęcia, jak ważne były tamte wydarzenia, ile każdy z nas zawdzięcza ludziom, o których mówi „1989”. Siła tej historii tkwi w tym, że jest prawdziwa. To opowieścią o czymś, co naszemu narodowi naprawdę się udało. Poza tym to wielka przyjemność kreować takiego skubańca, jakim był wtedy Władysław Frasyniuk, chociaż oczywiście też odpowiedzialność.

- Spotkał się Pan z nim podobno na premierze.

- Nie wszyscy bohaterowie Solidarności i naszego przedstawienia jeszcze żyją, ale wszyscy żyjący byli na przedstawieniu, więc mieliśmy szansę spotkać się z nimi. Pan Władek był bardzo przychylnie do naszego projektu nastawiony, spektakl mu się podobał. Zbiliśmy po przedstawieniu porządną pionę. Zresztą mocno zapracował na swój wątek w tym spektaklu, bo duża część scenariusza została oparta na jego opowieści. Kasia Szynigiera, Marcin Napiórkowski i Mirek Wlekły oczywiście korzystali też ze źródeł pisanych na temat tamtych czasów, ale postawili sobie cel, by bezpośrednio spotkać się z ludźmi, którzy tworzyli historię Solidarności. Dzięki temu wiele wydarzeń opowiedzieli po raz pierwszy. Tak jest

też z historią rodziny Frasyniuków. Pan Władek zgodził się na napisanie tego wątku na podstawie jego opowieści. Zналиśmy wcześniej losy „błękitnej soczewki Solidarności”, jak był nazywany, ale niewiele było wiadomo o losach jego rodziny, która wysoką cenę zapłaciła za jego działalność.

- Dużo przedstawień „1989” Państwo zagrali?

- Niedawno w Gdańsku zagraliśmy 165. przedstawienie. Gramy ten spektakl dalej, ale już nie tak intensywnie jak w pierwszym sezonie. Tak by się dłużej nie dało.

- Komponował Pan partie wokalne do tego spektaklu. Jest Pan też kompozytorem – i częściowo autorem tekstów – w duecie Bieryt/Ruciński. Opisz Panowie swoją twórczość jako „mieszankę folku, rocka, chamber popu”. Co to jest ten chamber pop?

- Kiedy wydawaliśmy płytę w 2021 roku, próbowaliśmy zdefiniować naszą muzykę. Takie określenia trzeba zastosować, kiedy utwory trafiają do streamingu, musieliśmy więc wreszcie położyć naszą płytę na którejś półce. Szukaliśmy, jak nazwać to, co robimy, i pojawił się właśnie chamber pop. Kiedy przeczytaliśmy jego opis – Wikipedia podaje np., że to gatunek muzyczny, który łączy muzykę rockową ze skomplikowanym wykorzystaniem elementów zaczerpniętych z orkiestrowego i lounge popu lat 60. – okazało się, że w jakimś sensie pasuje to nas. I tak zostało. Ale nie umiem ze stuprocentową pewnością określić naszej muzyki. Myślę, że to jest gatunek, który po prostu popłynął z nas.

- Ciąg dalszy następną stroną

 **HELIOS**

**KUP BILET
JUŻ DZIŚ!**



**NIE PRZEGAP OKAZJI
NA ZDOBYCIE**

**UNIKALNEJ KARTY
TYLKO W KINACH
HELIOS**



**EDYCJA
LIMITOWANA**

Szczegóły: www.helios.pl



KONCERT SOLIDARNI Z UKRAINĄ NA ZDJĘCIU Z SIOSTRĄ SARĄ. FOT.PIOTR KUBIC

- Długo Pan i Modest Ruciński pracowaliście nad płytą „jedenaście”?

- Materiał na płytę powstawał przez pięć lat, zawsze spontanicznie, przy okazji innych wydarzeń. Spotykaliśmy się z Modestem przy różnych projektach teatralnych. Poznaliśmy się we Wrocławiu, podczas półrocznej pracy nad spektaklem „Liżę twoje serce”, w którym debiutowałem po szkole teatralnej. Jak się jest na wyjeździe, to trochę inaczej operuje się czasem – po pracy dalej spędza się go z kolegami. Szybko okazało się, że obaj z Modestem mamy podobne zami-

łowanie do opowiadania historii, do sztuki, do muzykowania. Kiedyś Modest powiedział: słuchaj, bo ja mam taki tekst, zerknij. A ja od razu zacząłem go nucić – i tak zaczęliśmy.

- Podobno tworzył Pan muzykę nawet do SMS-ów Modesta Rucińskiego?

- Bywało tak, że dostawałem propozycje tekstów SMS-em albo w Messengerze. Raz się zdarzyło, że Modest mi napisał po prostu jakąś wiadomość w SMS-ie, ja myślałem, że to tekst i zacząłem go nucić. Ale w początkowym okresie większość utworów powstało

ze wspólnego siedzenia, spotkania się przed spektaklem, po spektaklu, w którym razem graliśmy. W końcu tych utworów zrobiło się tyle, że postanowiliśmy je wydać.

- Gdzie je nagrywaliście?

- Żadna z tych piosenek nie została zarejestrowana w studio. Prowadzę i ciągle rozbudowuję moje domowe studio nagrań, dużo się uczę w tej dziedzinie. A ponieważ naszą ideą było tworzenie intymnych, kameralnych utworów, a ja mam profesjonalny sprzęt, więc woziłem to studio ze sobą w aucie i na-

grywaliśmy w różnych miejscach. Część piosenek zarejestrowaliśmy w Stodole Kultury i Sztuki, którą to wspólnie stworzyliśmy z Modestem i jego rodziną w Łątku Garncarskim pod Janowem Lubelskim, część w warszawskim mieszkaniu Modesta i w moim poprzednim w Krakowie, niektóre w moim rodzinnym domu. Na płycie oprócz nas zaśpiewali bliscy nam ludzie. Na ostatnim etapie pomógł nam mój przyjaciel Paweł Penarski, producent muzyczny. Dzięki niemu ten materiał mógł wskoczyć masteringowo, produkcyjnie na poziom, którego wówczas bym nie



osiągnął. Kiedy płyta się ukazała, nie zagraliśmy pełnej trasy koncertowej, bo mieliśmy mnóstwo innych zawodowych zajęć. Ale w czerwcu ubiegłego roku udało nam się zorganizować duży, wyjątkowy koncert. Zagraliśmy z chórem, dla pełnej sali Małopolskiego Ośrodka Ogrodu Sztuki, czyli jednej ze scen mojego teatru, Teatru Słowackiego.

- Ten koncert, „Nie martw się kolego”, był dla Pana ważny także z innego powodu...

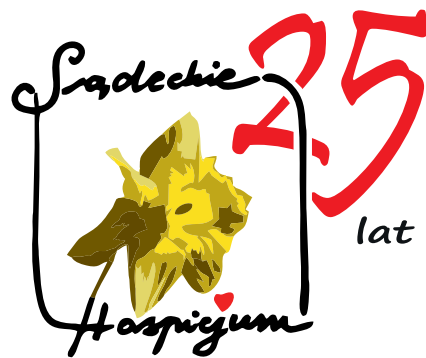
- Był bardzo osobisty, bo dotyczył mojej rodzinnej historii. W lipcu 2023 roku spalił się mój dom rodzinny w Jazowsku. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale moi rodzice, dziadkowie i rodzeństwo w jednej chwili stracili dach nad głową i cały dobytek. W internecie i podczas tego koncertu zbie-
raliśmy środki, żeby dom odbu-

dować. Pospolite ruszenie przy zbiórce i ogrom wsparcia, jakie dostaliśmy od bliskich i zupełnie obcych ludzi, sprawiły, że ta tragedia nas nie pochłonęła i nie złamała. Ta historia ma szczęśliwy finał – moja rodzina już mieszka w nowym domu. I tu wielki ukłon do wszystkich sądeczan, którzy zaangażowali się w naszą sprawę. Bez tego wsparcia nie byłoby tak pozytywnego zakończenia. Dziękujemy!

- Związany jest Pan też z Nowym Sączem. Tu chodził Pan do I LO. Zdaje się, że konkursy organizowane przez tę i inne sądeckie szkoły to kuźnia talentów.

- Jedyńka to wyjątkowe miejsce, które mnie ukształtowało, dało mi wiatr w żagle. Ta szkoła ma nie tylko wysoki poziom kształcenia, ale też stwarza przestrzeń dla ludzi, którzy mają pasję. Dzięki ówczesnemu dyrektorowi Aleksandrowi Rybskiemu i moim nauczycielom mogłem się rozwijać w dziedzinie, która mnie interesowała. Dostałem też ogromny kredyt zaufania od rodziców. Musiałem się wywiązać z obowiązków szkolnych, ale miałem przestrzeń na moją pasję. Z perspektywy czasu widzę, jak to było ważne. Mogłem się uczyć, a jednocześnie jeździć na warsztaty i konkursy. A kiedy zrobiło się naprawdę trudno, w trzeciej klasie dostałem indywidualny tok nauczania. Wspominam więc moje liceum z wielkim sentymentem i wdzięcznością. Tam też zaprzyjaźniłem się z Barbarą i Aleksandrem Porzuckami, dobrymi duchami tej szkoły i sądeckiej kultury. To pedagodzy i artyści, którzy poświęcili się odkrywaniu i wspieraniu młodych talentów. Ciocia Basia wiele razy musiała świecić za mnie oczami w liceum...

- Ciąg dalszy następną stronę



Towarzystwo Przyjaciół Chorych

Sądeckie Hospicjum



**Nie pozwól
umierać
w cierpieniu
i samotności
przekaż
1.5 %**

KRS 0000039177

www.hospicjum.nowysacz.pl

- Ma Pan ulubione miejsce w Nowym Sączu?

- Ostatnio rzadko tam bywam, bo jeśli jeżdżę, to do mojej rodzinnej miejscowości i staram się jak najwięcej czasu spędzić z rodziną. Ale jeśli już jestem i przejeżdżam koło mojego liceum, często tam zaglądam. Innym miejscem ważnym dla mnie w szkolnych czasach była Mała Galeria na Plantach. Przychodziłem tam ćwiczyć na fortepianie. Nikt się nie wkurzał, że gram, tylko wręcz mnie do tego namawiali. Siedziałem tam godzinami, czasem przychodziłem po szkole albo nie

szedłem na lekcję, żeby grać. To miejsce nauczyło mnie też miłości do sztuki w ogóle. Grałem na fortepianie w otoczeniu obrazów z którejś z kolejnych wystaw, robiło to na mnie wrażenie. Dużo czasu spędzałem też kiedyś w Miejskim Domu Kultury. W zeszłym roku miałem przyjemność być tam na koncercie zorganizowanym przez wspańiałe Stowarzyszenie Robimy CośWięcej, które angażuje młodych ludzi, by realnie wspierać innych w potrzebie. Mój młodszy brat jest ich wolontariuszem. Ze wzruszeniem go słuchałem na sce-

nie, która budzi we mnie tyle młodzięńczych wspomnień.

- Gdzie jest teraz Pana dom?

- Mój dom, w którym się wychowałem i do którego zawsze będę wracał, jest w Jazowsku. Bywam w Nowym Sączu i – ze względów zawodowych – często w Warszawie. Ale głównie jestem w Krakowie. Tu mieszkam i pracuję – w Teatrze Słowackiego, który także częściowo stał się moim domem. Przez kilka ostatnich lat z całym zespołem funkcjonowaliśmy

w swoistym krzysie, spowodowanym naciskami politycznymi na dyрекcję. Byliśmy więc zdeterminowani, by u nas było odwrotnie niż na zewnątrz. Wspieraliśmy się, byliśmy na siebie uważni, życzliwi. To nas ze sobą bardzo związało. Teatr Słowackiego to trzon mojej działalności zawodowej, ale też otoczenie ludzi, na których mogę liczyć. Przekonałem się o tym zwłaszcza wtedy, kiedy ja i moja rodzina naprawdę potrzebowaliśmy pomocy. To jedno z najważniejszych doświadczeń w moim życiu.

ROZMAWIAŁA
Anna Bugajska



ZDJĘCIE Z KONCERTU NIE MARTW SIĘ KOLEGO. FOT. DIANA STUDZIŃSKA



Gmina
Stary Sącz



Natura
i Kultura



w miasteczku
z klimatem
wszystko gra.



ZAPRASZAMY!!!

Źródło naturalnego magnezu



„Moja droga, ja cię kocham” — jak BOBBY VINTON podbił serca Polaków

Dzisiaj trudno wyobrazić sobie taką jedno-myślność gustów, ale pół wieku temu refren tego przeboju nuciła cała Polska. To było wydarzenie, które w pamiętnym roku 1974 ustępowało tylko srebrnemu medalowi Polaków na Mundialu w Monachium. Dzieciaki na podwórku chciały być albo Grzegorzem Lato, albo Bobby Vintonem. Rodowe korzenie tego drugiego prowadzą do maleńkiej wsi nieopodal Gorlic.

W 1974 r. fale radiowe światowych rozgłośni zostały zalane przez hit „My Melody of Love”. Zwłaszcza nad Wisłą, gdyż w piosence znalazły się polskie słowa refrenu „Moja droga, ja cię kocham” w miejsce angielskiego „My dear, I love You”. Jak się dużo później okaże, babcia amerykańskiego wokalisty Bobby’ego Vintona, który to śpiewał, nie pochodziła z powiatowego miasta Lipno k. Włocławka, jak wcześniej podawano, lecz prawdopodobnie z Lipnej nieopodal Sękowej w powiecie gorlickim.

Taką wzmiankę zamieszczono 16 kwietnia 2024 r. w niepodpisanym artykule „Nazywali go Polskim Księciem w USA” na Onet.pl. Można tam przeczytać m.in.: „Bobby Vinton, a właściwie Stanley Robert Vintula Jr, urodził się 16 kwietnia 1935 r. w Canonsburgu w amerykańskim stanie Pensylwania. Jest synem Stanleya Vintuli i Dorothy Studzinski. Jego dziadkami ze strony matki byli Konstanty Studzinski i Blanche Kołaczyńska, po której artysta ma polskie korzenie — kobieta uro-

dziła się w Lipnej w województwie małopolskim”.

KOŁACZYŃSKA Z LIPNEJ

W rejestrze imigrantów do USA, przybywających na przełomie wieków XIX i XX statkami na wyspę Ellis przy porcie w Nowym Jorku, jest sporo Studzińskich, nawet ktoś z Jastrzębika. Raczej nie tego koło Muszyny, bo zapisano, że w Rosji. Ale Studzinski nazywała się matka Bobby’ego Vintona, a doniesienie o pochodzeniu z Lipnej dotyczy babki – Blanche Kołaczyńskiej. W rejestrze z wyspy Ellis jest 12 osób o tym nazwisku – oczywiście zapisanym przez „l”, a nie przez „ł” i przez „n”, a nie przez „ń”. Ale tylko przy jednym, w rubryce „Ostatnie miejsce zamieszkania”, figuruje miejscowość z naszego regionu: „Szczyzyc, Galicy”, czyli na pewno Szczyrzyc k/ Limanowej, bo leżał w dawnej Galicji, a w Polsce nie ma innej miejscowości o podobnej nazwie. Chodzi o Aleksandra Kołaczyńskiego zapisanego jako Alexander Kolaczynski, który przybył do USA w 1906 r. na statku „Prinzess Alice”.

Czy to pradiadek Bobby’ego Vintona? Nie wiadomo. W rejestrze brak za to Blanche Kolaczynski, która miała urodzić się w Lipnej, czyli musiała do USA jakoś przybyć, choć może niekoniecznie przez wyspę Ellis, która była wprawdzie głównym miejscem lądowania imigrantów do Ameryki, ale też nie jedynym kanałem, jakim tam docierali. Ale jeśli urodziła się w Lipnej, to dlaczego nadano jej imię Blanche, a nie jakieś bardziej słowiańskie?

- Ciąg dalszy następną stronę

POSŁUCHAJ
TEGO PRZEBÓJU



KRZYŻE I CMENTARZE

Pozostają zatem poszukiwania w Lipnej. Jest jednak mały problem. Ta Lipna to, jak np. Bieliczna u stóp Lackowej koło Izb, występuje w artykule „Śladem nieistniejących wsi Łemkowszczyzny” na stronie internetowej Gorlice.pl. Występuje w artykule i na mapie, bo w rzeczywistości już nie istnieje: „Dzisiaj po tej łemkowskiej wsi pozostały między innymi przydrożna figura z rzeźbą Matki Boskiej z Dzieciątkiem, krzyże przydrożne, cerkwisko cerkwi grekokatolickiej pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny, cmentarz wiejski oraz cmentarz wojenny nr 45 pochodzący z okresu I wojny światowej”.

No to przodków ani śladów po Blanche Kołaczyńskiej tam nie znajdziemy. Tym bardziej, że Lipna to, jak czytamy, wieś łemkowska, a nazwisko Kołaczyński nie wygląda na nazwisko łemkowskie. Już prędzej Vintula, czyli nazwisko ojca Bobby'ego Vintona. Vintula – być może Wintuła. Tak jak Andy Warhol, dawny „papier” kierunku w sztuce zwanego pop-artem, też człowiek pochodzenia łemkowskiego, tyle że ze Słowacji, to naprawdę Varhola.

Ale nie, bo ojciec piosenkarza opowiadał, że pochodzi z Litwy. Prawdopodobnie tej polskojęzycznej, skoro w domu późniejszego Bobby'ego Vintona wciąż mówiło się po polsku, a nie litewskojęzycznej, choć być może dwujęzycznej. Natomiast rodzice matki Studzińskiej mieli pochodzić z Warszawy, a więc dziadek Bobby'ego, i Lipnej, a więc babcia Kołaczyńska. Lecz już prędzej na to ostatnie nazwisko można natknąć się w Lipnie k. Włocławka niż na Łemkowszczyźnie lub w ogóle na Podkarpaciu. Ale zapewne w Lipnej mieszkali nie tylko Łemkowie. Pozostaje zatem zagadką, czy faktycznie babcia piosenkarza pochodziła z łemkowskiej Lipnej?

FILMOWA KARIERA

Stanley Robert Vintula Jr, czyli późniejszy Bobby Vinton, otrzymał imię po ojcu, stąd dopisek Jr, czyli Junior – Młodszy. Wychował się w środowisku polonijnym świeżych imigrantów, którzy opornie poddawali się amerykanizacji i kultywowali zwyczaje przywiezione ze starego kraju, w tym między sobą rozmawiali po polsku. Jest o tym w artykule „For the Polish, He's Something to Sing About” Jamesa Feron opublikowanym 20 maja 1975 r. w czołowej, opiniotwórczej gazecie świata – „The New York Times”. Napisano tam, że Stanley zanim został Bobbym żył w polskiej społeczności, chodził do polskiej szkoły w Canonsburgu, w której wszyscy mówili po polsku, a on śpiewał polskie piosenki.

To ojciec Stanley (Stan) Vintula Sr (Senior - Starszy), który prowadził zespół muzyczny, uczył go gry na klarnecie. Potem syn grał na tym instrumencie w zespole, mającym repertuar składający się głównie z polek, a następnie w wieku 16 lat założył własny zespół o nazwie The Young Man With the Big Band. W 1956 r. skończył studia muzyczne na Duquesne University w Pittsburghu. Oprócz klarnetu opanował także inne instrumenty dęte: saksofon, trąbkę i obój, a ponadto pianino i perkusję. Pracował jako muzyk w bandach, akompaniujących takim sławnym rockandrollowcom, jak Afroamerykanie Chubby Checker i Chuck Berry. W 1962 r. rozpoczął – już pod pseudonimem Bobby Vinton – karierę solisty i wydał kilkadziesiąt płyt. A singiel z „Moja droga, ja cię kocham” sprzedano w 3 mln egzemplarzy.

Jednak najsłynniejszym przebojem był cover „Blue Velvet” nagrany z orkiestrą Burta Bacharach, trzykrotnego laureata Oscara za muzykę filmową, w tym do wspaniałego „Butch Cassidy i Sundance Kid” (1969) z Paulem Newmanem i Robertem Redfordem. 21 września 1963 r. wykonanie Vintona wspięło się na pierwsze miejsce Gorącej Setki (Hot 100), czyli prestiżowej listy przebojów branżowego tygodnika „Billboard” i utrzymało się na tej pozycji dwa tygodnie. Wersja Vintona jest głównym motywem muzycznym głośnego filmu „Blue Velvet” (1986) Davida Lyncha.

CAŁE SERCE DEDYKOWANE MATCE

Sztandarowy w Polsce utwór Vintona z jego głównym przesłaniem „Moja droga, ja cię kocham, kocham ciebie całym sercem” jest dedykowany matce z domu Studzińskiej. To ona miała też namówić syna do wplecenia polskich słów do piosenki, bo niby dlaczego – mówiła – Frank Sinatra może śpiewać po włosku, Maurice Chevalier po francusku, a jej syn nie miałby po polsku? Również w utworze „Santa Must be Polish” z 1987 r. Vinton śpiewa po polsku „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia”. Zresztą potem znalazł epigonów, bo np. Basia, czyli Barbara Trzetrzelewska rodem z Jaworzna, w piosenkach śpiewanych po angielsku też zamieszczała fragmenty po polsku.

Ponadto zagrał epizody w kilku filmach, w tym dwóch z gwiazdorem westernów Johnem Wayne: „Wielki Jake” (1971) i „Rabusie pociągów” (1973). Zachorował na półpaśca i zakończył karierę w 2015 r. Żonaty z Amerykanką pochodzenia irlandzkiego Dolores „Dolly” Dobbins, mają pięcioro dzieci – ale żadne nie nosi polsko brzmiącego imienia. Ma 89 lat, mieszka w Malibu w Kalifornii.

Ireneusz Pawlik

Mega wyprzedaż rocznika

Samochody dostawcze Forda już od 68 000 zł netto*
Dostępne „od ręki” również z inteligentnym napędem na 4 koła AWD.



Nowy Ranger
już od 161 000 zł



Nowy Custom
już od 106 900 zł



Nowy Transit
już od 111 000 zł



Nowy Connect
już od 90 600 zł



Nowy Courier
już od 68 000 zł

* Ceny netto. Szczegóły propozycji dostępne u dealera Wikar lub na wikar.pl

Wikar 33-300 Nowy Sącz, ul. Węgierska 168, tel.: 18 414 0 414

wikar.pl



Nowy Nissan Qashqai
z napędem hybrydowym **e-POWER**
Defy Ordinary



WYPRZEDAŻ NABIERA TEMPA!

Wybrane modele z rabatem do **72 000 zł**
i finansowaniem już od 0%*.

*Szczegóły u dealera Wikar lub na nissan.wikar.pl

Wikar
Nowy Sącz, ul. Węgierska 168 - tel.: 18 414 0 420
pon. — pt.: 09.00 — 17.00, sob.: 09.00 — 14.00

www.nissan.wikar.pl

Wszelkie prezentowane informacje, zdjęcia, specyfikacje, opisy, ilustracje lub parametry techniczne służą wyłącznie celom informacyjnym, nie stanowią potwierdzenia dostępności poszczególnych modeli pojazdów, wersji wyposażenia, wersji napędów i nie stanowią zapewnienia w rozumieniu art. 556(1)§2 Kodeksu cywilnego oraz nie są wiążące.

Nowy Hyundai INSTER.

Już od
103 900 zł
brutto.



W efektywnej cenie w programie **NaszEauto** już od **63 900 zł**.

KONA Electric.

Już od
139 900 zł
brutto.



W efektywnej cenie w programie **NaszEauto** już od **104 900 zł**.

Sprawdź efektywną cenę wszystkich modeli elektrycznych Hyundai z uwzględnieniem możliwych dopłat w salonie lub na hyundai@wikar.pl.

WIKAR
Nowy Sącz, ul. Węgierska 168
tel. 18 414 0 413, e-mail: hyundai@wikar.pl



S A D E C K I E



Beskid Sądecki



Fontanna
Krynica-Zdrój



Centrum Kultury i Sztuki im. Ady Sari
w Starym Sączu



Beskid Sądecki



Jezioro Rożnowskie



Zbyszyce

Zaprasza



Zapraszam do odwiedzenia i odkrywania
Powiatu Nowosądeckiego

Tadeusz Szemko
Starosta Nowosądecki



FOTACHIWUM PRYWATNE

PATAGOŃCZYK w Kotlinie Sądeckiej – miłość, góry i nowe życie

Spotykamy się w jednej z pizzerii na osiedlu Wólki, nieopodal gabinetu fizjoterapii prowadzonego przez Natalię. Diego Umaña, Argentyńczyk z Bariloche w Patagonii, od kilku lat mieszka w Nowym Sączu. Jest ultramaratończykiem. Na swoim koncie ma około 70 maratonów – większość górskich. Gdy tylko czas mu na to pozwala, bierze udział w zawodach na dystansach często sporo dłuższych niż klasyczne 42 km.

- Jak to się stało, że poznałeś Natalię, sądeczankę, z którą teraz dzielisz życie?

– Przez internet. Od lat biegam maratony i jeszcze dłuższe dystanse, głównie po górach. Często wrzucam na Instagram zdjęcia z zawo-

dów i treningów. Pewnego dnia zauważyłem, że jedno z nich polubiła ładna dziewczyna z Polski. Pomyślałem: „Kto to jest?” i postanowiłem do niej napisać. Ku mojemu zaskoczeniu – odpisała. Tak zaczęła się nasza znajomość.

Z czasem dowiedziałem się, że jest fizjoterapeutką, co w połączeniu z moją pasją do biegania wydało mi się ciekawym zbiegiem okoliczności. Pisaliśmy do siebie dużo, czasem do późna w nocy. Mniej więcej w tym samym

czasie zapisałem się na bieg ultra w okolicach Chamonix, w masywie Mont Blanc. Zainteresowanie tymi zawodami jest ogromne, dlatego organizatorzy przyznają miejsca poprzez losowanie. Nie wiedziałem, czy uda mi się dostać, ale sama perspektywa pierwszego startu w Europie była ekscytująca. Dotąd brałem udział w zawodach jedynie w Ameryce Południowej – w Argentynie i Peru. Napisałem Natalii, że jeśli się zakwalifikuję, być może uda mi się ją odwiedzić. Odpisała: „OK, OK”, ale chyba nie do końca wierzyła, że rzeczywiście do tego dojdzie.

A jednak – los mi sprzyjał. Dostałem się na bieg. Powiedziałem Natalii, że skoro będę w Europie, to chcę ją zobaczyć i poznać osobiście. To nasze pierwsze spotkanie przeciągnęło się na kilka tygodni. Nie ukrywam – zaiskrzyło od razu. Ewidentnie przypadliśmy sobie do gustu. Po zawodach wróciłem do Argentyny, ale szybko okazało się, że bardzo za sobą tęsknimy.

Tym razem to Natalia zapowiedziała, że odwiedzi mnie w Bariloche. Przyjechała na przełomie 2018 i 2019 roku. Po tym pobycie już wiedzieliśmy, że chcemy iść przez życie razem. I tak trafiłem do Polski, a dokładnie do Nowego Sącza.

- Myślisz, że jesteś jedynym Argentyńczykiem w Nowym Sączu? Spotkałeś tu kogoś rodaka?

– Nigdy. Podobno mieszka tu parę osób z Meksyku i Peru, ale osobiście poznałem tylko jednego Peruwianczyka, który ożenił się z Polką. Inaczej jest w większych miastach, na przykład w Krakowie – tam istnieje mała argentyńska społeczność.

- Zamknij teraz oczy, proszę i spróbuj opisać nam swoje rodzinne miasto,

Bariloche. Co widzisz?

(Diego najpierw bierze parę łyków wody mineralnej, jak na sportowca przystało i dopiero po tym zamyka oczy. Wtedy na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech).

– Woda, jeziora, natura, błękitne niebo. Ośnieżone szczyty Andów Patagońskich wznoszą się nad taflą jeziora, a wokół rozciągają się lasy. Wśród zabudowań dominują charakterystyczne alpejskie wille – drewniane, z wysokimi spadzistymi dachami. Na wodzie unoszą się łódki i kajaki, a między drzewami wiją się liczne ścieżki i szlaki – idealne do biegania. Inaczej niż w Polsce, gdzie większość tras jest wyasfaltowana, w Bariloche to głównie szutrowe ścieżki, naturalnie wkomponowane w krajobraz. W samym mieście mamy siedem jezior – otaczają nas z każdej strony. Widoki są wspaniałe!

- A jak porównałbyś Bariloche do Nowego Sącza?

– Pod względem liczby mieszkańców są podobne – Bariloche ma nieco ponad 100 tysięcy ludzi. Ale ich charakter jest zupełnie inny. Bariloche to górski kurort, otoczony surową, majestatyczną przyrodą. Natura dominuje tam nad wszystkim – to jej rytm wyznacza życie miasta.

Wiesz, mimo że w Bariloche można spotkać zarówno ogromne bogactwo, jak i pospolitą biedę, trzeba przyznać, że miasto jest przepiękne – przede wszystkim ze względu na swoje położenie i bliskość natury. I to powietrze! Jest całkiem inne niż tutaj. Czyste, świeże, wolne od smogu!

W mieście nie mamy za to zabytków ani starówki takiej jak w Nowym Sączu. W Sączu ogólnie jest bardziej zwarta zabudowa, zwłaszcza w centrum. I więcej bloków niż u nas.

- Ciąg dalszy następną stronę

System Nieodpłatnej Pomocy

Potrzebujesz wsparcia?

Prawnika • Doradcy • Mediatora

Jesteś w trudnej sytuacji życiowej?



Odwiedź
naszą stronę!

Skorzystaj z nieodpłatnej pomocy
prawnej w Nowym Sączu



Nieodpłatna
Pomoc Prawna



Nieodpłatne
Poradnictwo
Obywatelskie



Nieodpłatna
Mediacja

Numer telefonu do zapisów: (18) 414-13-74
pon.od godz. 9⁰⁰ do 17⁰⁰, wt.- pt od godz. 7³⁰ do 15³⁰

f /NieodplatnaPomoc

- Czym zajmujesz się zawodowo? Pracujesz w Polsce w swoim zawodzie?

– Z wykształcenia jestem inżynierem informatykiem. Przed wyjazdem do Polski pracowałem dla argentyńskiej firmy IT. Teraz robię to samo, tylko dla polskiego pracodawcy. Na szczęście Polska ma dobrze rozwinięty rynek pracy zdalnej dla informatyków, więc mogę pracować z Nowego Sącza, mieć większą elastyczność i spędzać więcej czasu z rodziną. To duży plus.

- Czy zanim poznałeś Natalię, miałeś wcześniej jakiegokolwiek kontakty z Polską?

– Nie, z Polską jako taką nie. Ale wśród kolegów byli tacy, którzy mieli dalekie polskie korzenie. Pamiętam, że od czasu do czasu angażowali się w stowarzyszenie polonijne działające w Bariloche. W Argentynie to dość popularne – wielu ludzi z dumą podkreśla swoje europejskie pochodzenie, czy to z Włoch, Niemiec, czy właśnie z Polski. Ja osobiście czuję się przede wszystkim Argentyńczykiem. Być może wynika to z faktu, że moi przodkowie przybyli do Argentyny bardzo dawno temu, jeszcze w XIX wieku, w jednej z pierwszych fal emigracyjnych.

Polska była mi niemal zupełnie nieznana. Wiedziałem jedynie, że przed Franciszkiem był papież z Polski – Jan Paweł II. Kojarzyłem też Chopina. Ale w Argentynie nie mówi się zbyt wiele o Polsce. Myśląc o Europie, skupiamy się raczej na Hiszpanii, Włoszech czy Francji, a poza Europą interesują nas głównie Stany Zjednoczone.

- Właśnie podano naszą pizzę, więc pozwól, że za pytam o jedzenie. Za jakimi potrawami tęsknisz najbardziej, mieszkając w Polsce?

– Przede wszystkim za asado

– argentyńskim barbecue.

U nas mięso to synonim wołowiny, nie wieprzowiny czy kurczaka, jak tutaj. Argentyńskie steki czy żeberka (costillas) są ogromne i je się je powoli, celebrując posiłek z rodziną i przyjaciółmi, najlepiej przy kieliszku dobrego wina.

Poza tym kuchnia argentyńska jest bardzo zróżnicowana. Wzięliśmy najlepsze rzeczy od Europejczyków – od Francuzów chleb, od Włochów makarony, od Hiszpanów inne specjały. Do tego dochodzi kuchnia lokalna, która zmienia się w zależności od regionu. W moich rodzinnych stronach, w okolicach Bariloche, popularne są dania z jagnięciny, bo mamy tam dużo owiec.

W Polsce kuchnia jest... hmm, dość monotonna. Na początku bardzo mi smakowała, ale z czasem trochę mi się znudziła. Brakuje mi tej różnorodności, którą mamy w Argentynie.

- A czy jest coś, co szczególnie polubiłeś w polskim jedzeniu?

– O tak! Pierogi. Są proste, ale naprawdę smaczne. No i dania z kaczki – w Polsce jadłem je o wiele częściej niż w Argentynie. Bardzo mi smakują.

- Jak porównałbyś życie w Polsce i w Argentynie?

– W Polsce tempo życia jest znacznie szybsze. Ludzie pracują więcej, są często zestresowani, jakby ciągle mieli coś do załatwienia. W Argentynie życie płynie spokojniej, mamy w sobie więcej luzu. Ktoś z zewnątrz mógłby powiedzieć, że jesteśmy leniwi, ale ja widzę to inaczej – po prostu mamy inne priorytety i inaczej ustawiony balans między pracą a odpoczynkiem.

Bardzo brakuje mi przestrzeni. W Patagonii masz poczucie, że krajobraz się nie kończy, że horyzont jest daleko i możesz oddychać



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



pełną piersią. Tutaj wszystko jest bardziej skondensowane i stłoczone – miasta, ludzie, rytm życia.

Z drugiej strony w Polsce rzeczy wydają się bardziej sprawiedliwe. Jeśli pracujesz, możesz liczyć na stabilność, a gospodarka daje większe poczucie bezpieczeństwa. W Argentynie praca nie zawsze oznacza pewny byt. Wiele osób ciężko pracuje, ale mimo to musi zmagać się z nieprzewidywalnością ekonomiczną. To frustrujące.

- Nawet bieganie wygląda tu inaczej, prawda?

– Tak, i to mnie na początku bardzo zaskoczyło. W Argentynie biegi mają mocno towarzyski charakter – ludzie trenują w grupach, dla przyjemności, dla wspólnej pasji. W Polsce prawie każdy trenuje w samotności, a na zawodach czuć o wiele większy nacisk na rywalizację. Każdy chce wygrać, albo pobić swój rekord. Trzeba było trochę czasu, żebym się do tego przyzwyczaił.

W Argentynie zdobywałem medale i trofea, a tutaj, przez pierwszy rok... nic. Po prostu nie byłem wystarczająco dobry. Dopiero kiedy podkręciłem treningi, pierwszy raz stanąłem na podium. Na szczęście Nowy Sącz i okolice to świetne tereny do biegania. Szczególnie lubię pasmo Przehyby – tam czuję się jak w domu. Moje ulubione zawody w Polsce? Pieniny Ultra-Trail. Widoki na całej trasie są przepiękne.

- Nie mogę nie zapytać o piłkę nożną. Nadal kibicujesz argentyńskim zespołom?

– Tu pewnie Cię zaskoczę – wcale nie jestem wielkim fanem futbolu. Moje życie to bieganie, a w drugiej kolejności kolarstwo. Ale oczywiście,

kiedy Argentyna zdobyła mistrzostwo świata w 2022 roku, płakałem jak dziecko. To było dla mnie jedno z najważniejszych wydarzeń sportowych, jakie przeżyłem.

W młodości kibicowałem Maradonie. Boski Diego to legenda, dla mnie wciąż numer jeden w historii futbolu. Ale moje kibicowanie nie ma nic wspólnego z fanatyzmem, jaki możecie kojarzyć z argentyńskimi hinchas.

Jest jedna rzecz, która mnie w Polsce zaskoczyła – puste boiska. Macie świetne obiekty, znacznie lepsze niż u nas, ale często stoją puste. W Argentynie wystarczy kawałek placu, trochę gołej ziemi – i już toczy się mecz. To jest w nas, w naszej kulturze.

- Planujecie z Natalią zostać w Polsce na stałe, czy myślicie o przeprowadzce do Argentyny?

– Życie tutaj naprawdę nam się podoba. Polska daje stabilność, bezpieczeństwo, dobre warunki do wychowywania naszych dzieci. Dla młodego małżeństwa na dorobku to duży atut. System działa, gospodarka jest w dobrej kondycji, a ludzie mają szacunek do instytucji państwowych – to duża różnica w porównaniu do Argentyny.

Ale nie wykluczamy, że na starość może wyjedziemy do Argentyny. Tam życie jest spokojniejsze, ludzie mają więcej dystansu. Po każdej wizycie w domu obiecujemy sobie, że spróbujemy w Polsce żyć bardziej „po argentyńsku” – bez tego ciągłego zagonienia, bez presji codziennych obowiązków. Argentyńczycy potrafią celebrować chwilę, cieszyć się codziennością. Natalia często im tego zazdrości. Bo nawet jeśli ich życie jest trudniejsze, to oni wydają się... szczęśliwsi.

ROZMAWIAŁ
Wojciech Knapik



Naturalny

WAPŃ I MAGNEZ

Z UZDROWISKA PIWNICZNA - ZDRÓJ



piwniczanka.pl

ROZMOWA Z ANTONIM BUGAJSKIM,
ZASTĘPCĄ REDAKTORA NACZELNEGO „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO”.

CZŁOWIEK, który ogolił „FRYZJERA”

We wrześniu 2024 r. więzienie opuścił Ryszard Forbrich, były piłkarski działacz znany jako „Fryzjer”, w 2019 r. skazany na 6 lat pozbawienia wolności. Początkiem największej w polskim sporcie afery korupcyjnej było opublikowanie tzw. „Listy Fryzjera”. Współautorem materiału był pochodzący z Limanowej dziennikarz Antoni Bugajski. Podczas ostatniego spotkania obydwu panów na sądowym korytarzu Ryszard Forbrich w obecności telewizyjnych kamer wycedził: „Jest pan ch..., panie Bugajski!”. Zdaniem innych Bugajski jest jednym z tych, którzy pomogli uwolnić polską piłkę nożną od gangreny mafijnego układu.

- Po raz drugi byłeś w tym roku nominowany do prestiżowej dziennikarskiej nagrody „Grand Press”. Gratuluję obydwu, ale chciałem Cię zapytać o tę pierwszą nominację sprzed lat.

- Tamta nominacja w 2006 r. była za serię artykułów o tzw. „Liście Fryzjera”, ale konkurencja była wówczas bardzo duża. Przegraliśmy z Tomkiem Sekielskim i Andrzejem Morozowskim, którzy dostali Grand Press za legendarne już taśmy Renaty Beger.

- Mocny dziennikarsko rok, tajne listy, taśmy...

- Ale to nie był wyłącznie czas afer. Pamiętam tamtą galę



ANTONI BUGAJSKI. FOT. KRYSZYNA PĄCZKOWSKA

sprzed 18 lat. W kategorii wywiad wygrał wówczas młody, obiecujący dziennikarz Szymon Hołownia za tekst „Niebo dla gołębi” o tragicznej katastrofie hali w Katowicach, gdzie odbywała się międzynarodowa wystawa gołębi.

- Wracając do Twojej nominacji. Opublikowanie wówczas „Listy Fryzjera” na trwałe – boję się powiedzieć, że na zawsze – zmieniło polską piłkę nożną. Czujesz się jak facet, który wywrócił do góry nogami krajowy futbol?

- Nie, nie żartuj, to byłaby gruba przesada!

- Ciąg dalszy
strona 33.



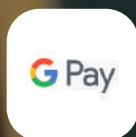
**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Mamy tu **wszystko!**

Mobilnie, wygodnie.

- ✓ dopasowane konta
- ✓ atrakcyjne lokaty i kredyty
- ✓ obsługę walutową
- ✓ ubezpieczenia online

**Jeden Bank,
Wiele Możliwości**



 www.bs.limanowa.pl

- Dobrze, obojętnie jak to nazwiemy, opublikowanie „Listy Fryzjera” było początkiem końca gigantycznej – jak się szybko okazało – korupcji w polskiej piłce nożnej.

- Zgoda. Skala oddziaływania tamtego tekstu, czy raczej serii tekstów, samego mnie zaskoczyła. Ten tekst rezonował nie tylko w środowisku piłkarskim. Sprawie przyglądała się wówczas cała Polska, a nowe informacje w tej sprawie nie schodziły z czołówek mediów. Im więcej czasu mija od tamtej publikacji, tym mocniej uświadamiam sobie jego siłę rażenia i konsekwencje, jakie przyniósł. Bałbym się jednak nazywać go rozwaleniem systemu. Myślę, że opublikowanie listy skorumpowanych sędziów pomogło pewnym środowiskom otworzyć oczy na problem, który toczył polską piłkę nożną.

- Pamiętasz 25 sierpnia 2006 r., czyli dzień przed publikacją listy? Było nerwowo?

- Były duże emocje. Długo toczyła się w redakcji dyskusja, czy należy w ogóle ten tekst publikować. Chodziło o potencjalną sytuację procesową. Zakładaliśmy, że ktoś z 28 osób znajdujących się na liście może nas pozwać do sądu.

Z dziennikarskiego punktu widzenia należało dochować wszelkiej staranności, żeby ograniczyć do minimum skutki uboczne tej publikacji. Staraliśmy się z Pawłem Rusieckim dotrzeć do każdego z tych 28 osób i rozmawiać z nimi, poinformować, że ich nazwiska znajdują się na „Liście Fryzjera”. Wielu już w tych pierwszych rozmowach zapowiadało spotkanie w sądzie. Jak się pewnie domyślasz, decyzja o publikacji łatwa nie była. Ważne było też wsparcie redakcji, którego oczekiwaliśmy, gdyby faktycznie trzeba spędzić trochę czasu w sądach.

- Pierwszy za listę pozwał Was sędzia Marcin Borski.

- Precyzyjniej mówiąc Marcin Borski był jedynym, który wygrał z nami proces. Sąd uznał, że publikacja naruszyła dobra osobiste Borskiego, a znalezienie się jego nazwiska na tej liście utrudniło mu funkcjonowanie także w życiu zawodowym. Jeśli dobrze pamiętam, to udowodnił przed sądem, że jakaś firma nie przyjęła go do pracy uzasadniając, że był na „Liście Fryzjera”.

- Po opublikowaniu przez Was „Listy Fryzjera” Rafał Stec w „Gazecie Wyborczej” nazwał Waszą

publikację „nieodpowiedzialnym wybrykiem”.

- Cóż, każdy ma prawo do własnej oceny, nic z tym nie mogę zrobić. Inaczej to oceniła – od czego zaczęła – kapituła nagrody Grand Press. Rafał Stec naszą publikację nazwał również „parodią walki z korupcją”.

- Przecież Wasza publikacja uruchomiła gigantyczną lawinę, po przejściu której nic już nie było takie samo w polskiej piłce.

- Tak było, ale Stec uważał inaczej. Ja jednak wyżej cenię sobie opinie takich dziennikarzy jak np. Dominik Panek twórca blogu „Piłkarska mafia”, który od lat opisuje wszelkie nieprawidłowości w polskim futbolu, a on twierdzi, że publikacja listy była bardzo ważna.

- Skąd wzięliście listę?

- Jak wiadomo, stworzył ją Ryszard Forbrich ps. „Fryzjer” i ona od pewnego czasu krążyła w środowisku. Wtajemniczeni wiedzieli, że istnieje grupa sędziów piłkarskich, na których „Fryzjer” ma wpływ. Nie mogłem wykluczyć, że chciał on mieć również wpływ na kogoś wbrew jego woli, np. na Marcina Borskiego, który w sądzie przedstawiał się jako ofiara „Fryzjera”.

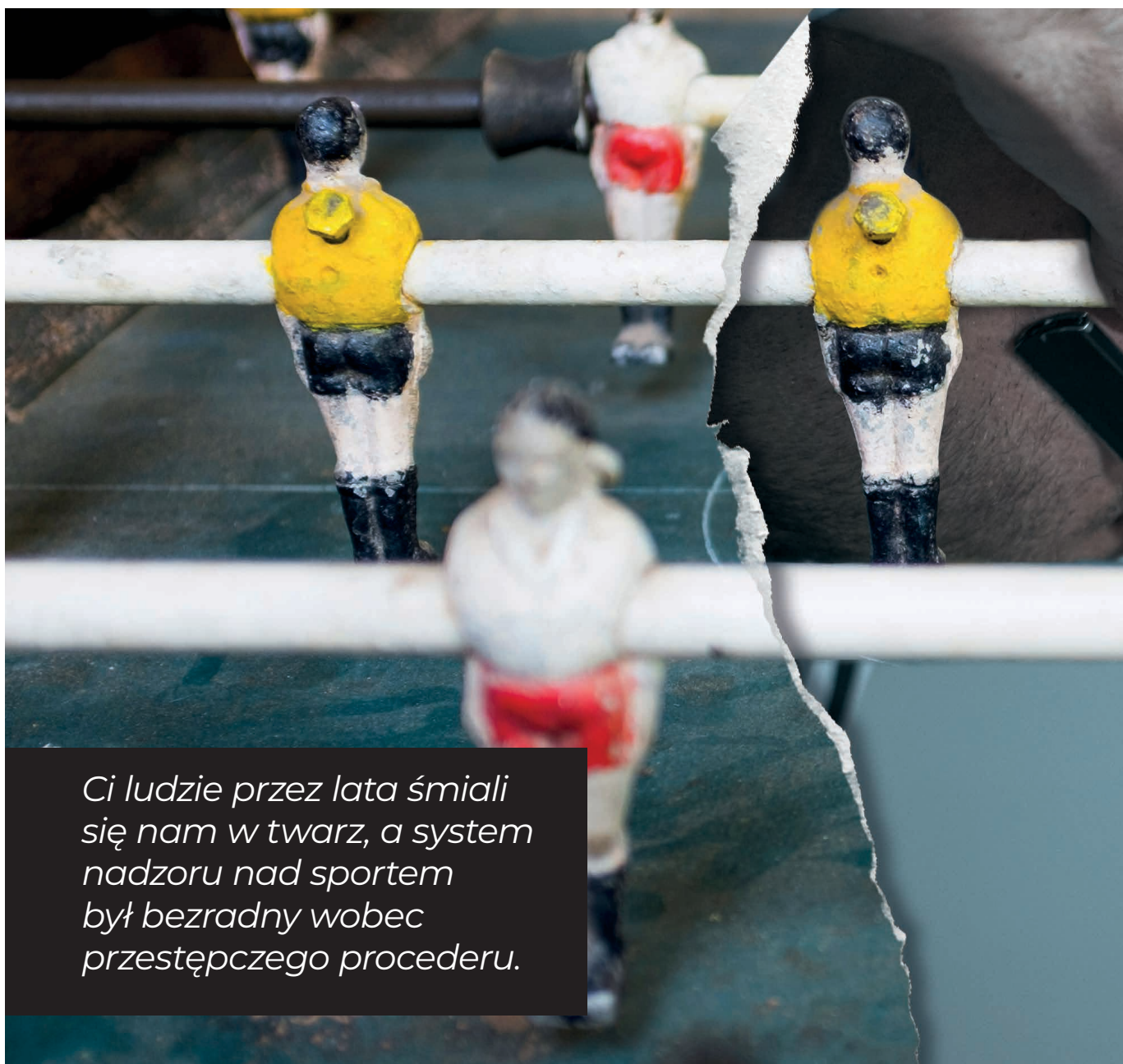
- Dlaczego lista liczyła 28 nazwisk, choć wiadomo było, że może ich być znacznie więcej?

- Ja nie mogłem sam nikogo ani dopisać, ani skreślić z listy, to byłoby niewybaczalne. Oczywiście pojawiały się pytania, dlaczego na liście nie było sędziego Antoniego Fijarczyka, zatrzymanego na gorącym uczynku przy przejmowaniu łapówki ukrytej w kole zapasowym samochodu. Na taką listę trafiliśmy i mogliśmy według własnego uznania dopisać Fijarczyka, bo on tam pasuje, albo wykreślić Borskiego, bo on tam nie pasuje. Gdybym wprowadził tam jakiegokolwiek nazwisko, to już byłaby to „Lista Bugajskiego”. Ale gdybym miał drugi raz opublikować listę, zrobiłbym to na pewno.

- Na liście są tylko nazwiska sędziów piłkarskich, którzy realizowali czyjeś zlecenia – działaczy, trenerów – zamówione przez pośrednika czyli „Fryzjera”.

- W tym samym czasie krążyła w środowisku lista działaczy zlecających ustawianie meczów. Staraliśmy się weryfikować tę listę, ale ona się kompletnie rozjeżdżała – część nazwisk się nie potwierdzała, pojawiały się inne. Uznaliśmy więc, że nie wolno nam publikować takiej listy.

- Ciąg dalszy
następna strona



Ci ludzie przez lata śmiali się nam w twarz, a system nadzoru nad sportem był bezradny wobec przestępczego procederu.

- W późniejszym okresie okazało się, że sędziów zamieszanych w proceder ustawiania meczów było więcej niż tych 28 z listy.

- Zatrzymanych i skazanych w tej sprawie było znacznie więcej sędziów, bo „fryzjerów” było co najmniej kilku. Panowało takie przekonanie, że za wszystkie sznurki pociągał „Fryzjer”, a nie do końca tak

było. On znał, albo miał coś na tych najważniejszych, a oni znali kogoś innego, kto znał jeszcze kogoś i tak to działało. Nie zapominajmy o roli, jaką w tym procederze odgrywali obserwatorzy, dzisiaj funkcja trochę niedoceniana. Obserwatorzy z ramienia PZPN mieli bezpośredni wpływ na sędziów, a pamiętajmy, że działało się to w cza-

sach, kiedy telewizji nie było na każdym meczu. Dodatkowo w studio Canal+ zaczęła funkcjonować postać sędziowskiego eksperta, który oceniał sytuacje kontrowersyjne w rozegranych meczach. To była prawdziwa wyrocznia! Ocena eksperta potrafiła wszystko wytłumaczyć, każdy sędziowski błąd. Dodajmy do tego jeszcze dziennikarzy

wystawiających noty piłkarzom i sędziom. Jeśli sędzia „kręcił” mecz, a dziennikarz oceniał go wysoko, to skorumpowany obserwator miał podkładkę do swojej równie wysokiej oceny.

- Istniała lista dziennikarzy?

- Spisana nie, raczej wirtualna, czy – mówiąc językiem dawnych czasów – istniała w przekazach

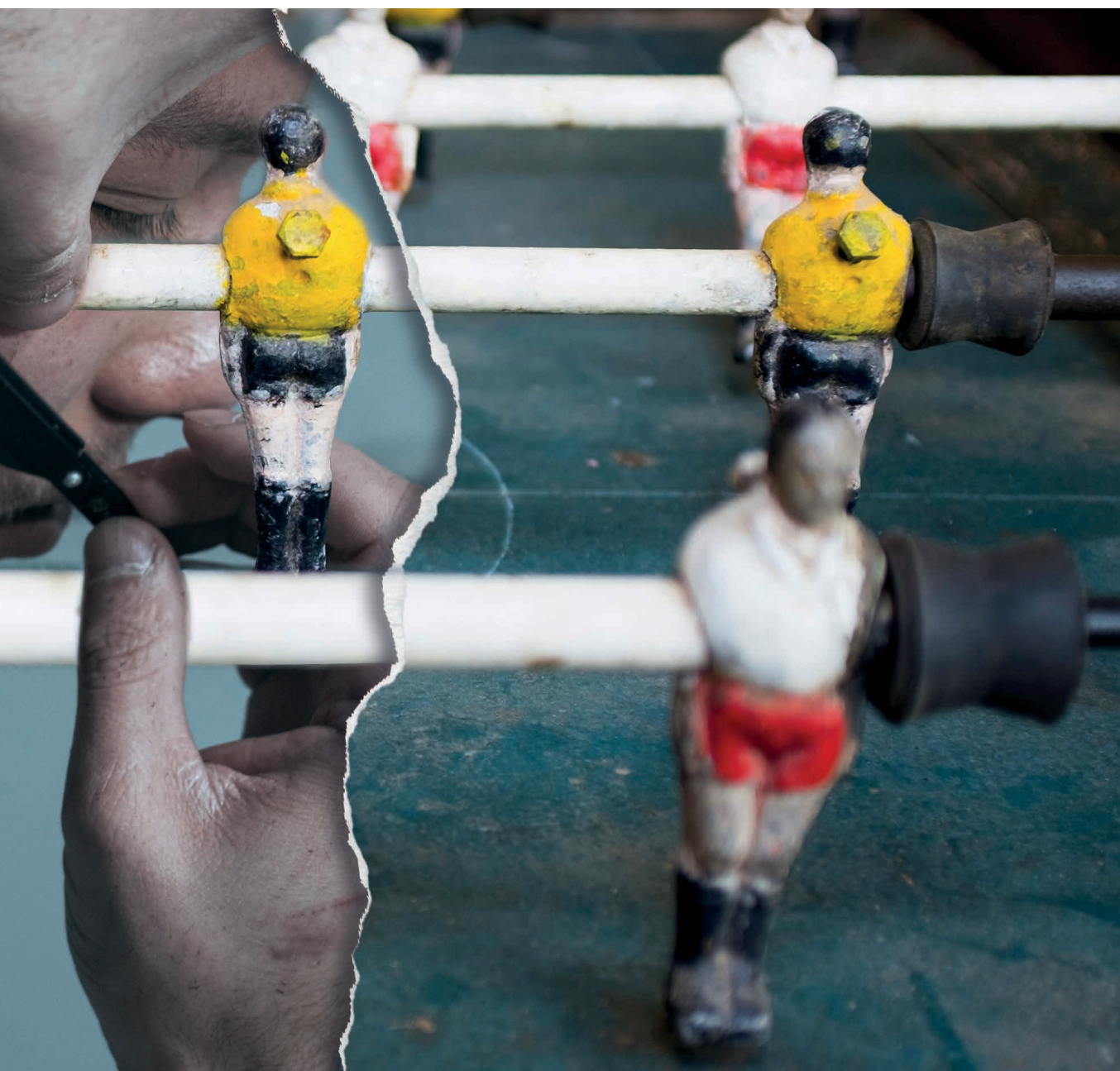


PHOTO BY BRUNO ACUIRRE, IONELA MATON UNSPLASH, GRAF ADASNOWA

ustnych. Funkcjonowali dziennikarze, którzy współpracowali z „Fryzjerem” i oni byli bardzo ważni w stworzonym systemie. O ile potem skazywano piłkarzy, trenerów, sędziów i działaczy, o tyle nie skazano ani jednego dziennikarza. Nie skazano, bo w rozumieniu przepisów dziennikarz nie był uczestnikiem zawodów sportowych.

- Polska piłka była w tamtym okresie, czyli do 2006 r., do cna zepsuta? Można było wszystko pokątnie załatwić?

- Myślę, że niestety tak było. Zjawisko było bardzo powszechne w latach 90. ub. wieku, kiedy w piłce pojawili się biznesmeni w białych skarpetkach. Pierwsi sponsorzy czy właściciele klubów, którzy bardzo chętnie korzystali z korup-

cyjnego systemu. Zupełnie inaczej było, kiedy w Legii pojawił się koncern ITI, a w Wiśle Bogusław Cupiał. Oni wykładali tak wielkie pieniądze na funkcjonowanie klubów, że nie chcieli uczestniczyć w korupcji. Cupiał powiedział zresztą słynne zdanie, że nie po to wydaje ogromne pieniądze na najlepszych zawodników, żeby kupować przychylną sędziów.

Tacy ludzie jak Cupiał, Wejchert, Walter – zrobili dużo dobrego dla uzdrowienia polskiej piłki, choć wprowadzony przez nich model zarządzania nie był jeszcze powszechną regułą. Pamiętajmy, że w tym samym czasie właściciel Groclinu został skazany, a Puchar Polski po latach odebrany temu klubowi.

- Ciąg dalszy
następna strona

- Trofeum Groclinowi odebrano, ale w europejskich pucharach zdążył wyeliminować Herthę Berlin i Manchester City.

- No tak, czytałbym to jednak w kategoriach pewnego wybryku, ale generalnie to były bardzo dziwne czasy. Wracając do twojego poprzedniego pytania: tak, to było do cna zepsute środowisko i system, to musiało się rozwalić! Przełomowym momentem był wprowadzony w lipcu 2003 r. do prawa karnego zapis o ściganiu korupcji w polskim sporcie. Ci, którzy ten proceder organizowali, albo nie zauważyli tego przepisu, albo nie docenili jego znaczenia.

- Aż do momentu, kiedy co kilka dni zaczęły się pojawiać informacje, że zatrzymano kolejnego sędziego, działacza, piłkarza i służby wiozą ich do prokuratury we Wrocławiu.

- Ale to się zaczęło w 2004 r. od afery Polaru Wrocław. Wcześniej „cała Polska widziała”, lecz w zasadzie nic się z tym problemem nie działo, mam na myśli choćby niesławny mecz Wisła – Legia 0-6 z 1993 r. Prokuratura zajęła się tym meczem, ale była bezradna. Wszyscy myśleli, że załatwi to PZPN za pomocą swoich organów dyscyplinarnych, podobnie jak z tzw. aferą barażową Szczakowianki z czerwca

2003 r. Tak się nie stało, bo związek nie posiadał instrumentów do prowadzenia śledztwa. Dopiero wrocławski prokurator Tadeusz Potoka, moim zdaniem człowiek w kontekście walki z piłkarską korupcją niedoceniany, w maju 2004 r. uznał, że najwyższy czas sięgnąć po ten nowy zapis w kodeksie karnym. Lawina ruszyła, a w 2006 r. i kolejnych latach przyspieszyła tak mocno, że skutecznie wyczyściła patologiczny system. Efekty chorego systemu, ustawionych meczów, kupionych awansów moglibyśmy wymieniać do wieczora. Ci ludzie przez lata śmiali się nam w twarz, a system nadzoru nad sportem był bezradny wobec przestępczego procederu. Wcześniej, przed 1989 r. nie było zresztą lepiej, co pokazał film „Piłkarski poker”.

- A polska piłka stacza się na dno w rywalizacji klubowej i reprezentacyjnej w Europie. Bo na lokalnym podwórku można wszystko kupić, ale za granicą to już trzeba grać w piłkę bez pomocy skorumpowanego sędziego.

- Tak było do pamiętnych sukcesów Wisły Kraków w europejskich pucharach – z Schalke, Romą, Parmą itd. To był niezapomniany czas, ale tak po prawdzie Wisła w tych rozgrywkach

jednak nie sięgnęła po nic namacalnego. Trwa wielka smuta, jesteśmy piłkarsko w czarnej d... dziurze.

- Klub albo reprezentacja wyjeżdżają za granicę, a tam trzeba grać w prawdziwą piłkę. Nasi zawodnicy nie byli do tego przyzwyczajeni.

- Dokładnie tak było, dlatego potrzebowaliśmy silnego wstrząsu, oczyszczenia, resetu, który wreszcie nastąpił. Trochę racji miał Jan Tomaszewski, który mawiał, że w tamtym okresie PZPN był ostatnim bastionem PZPR. W sensie mentalnym. Że w każdej sprawie musi pomóc łapówka, że na każdym kroku potrzebne są szemrane znajomości, pranie brudnych pieniędzy. A to wszystko działo się w polskiej piłce.

- Dzisiaj krajowy futbol jest czysty?

- Największe autorytety w tej dziedzinie, czyli prokuratorzy Robert Tomankiewicz i Krzysztof Grzeszczak – dwóch szeryfów, którzy rozbili polską mafię piłkarską – przekonują, że wszystko się zmieniło i pod tym względem sytuacja jest wyczyszczona. Nie chcę powiedzieć, że piłka jest całkowicie wolna od patologii, ale to jednak dwa różne światy.

- Jednym z symboli tamtej korupcji, była słynna sytu-

acja z 1987 r., kiedy w barażowym meczu Ruch – Lechia Gdańsk, bramkarz chorzowian Janusz Jojko sam sobie wrzuca piłkę do bramki.

- Dobry przykład. Wszyscy wówczas mówili, że to był właśnie sprzedany mecz, ale nie było przepisów, by takie rzeczy ścigać, więc skończyło się na mówieniu. Ale Janusz Jojko poniósł karę za to, co zrobił. Najlepszy dowód, że po tylu latach ty to pamiętasz i pewnie nie tylko ty. To jest krzyż Janusza Jojko, który on musi dźwigać.

- Spotkałeś kiedyś Ryszarda „Fryzjera” Forbricha osobiście?

- Oczywiście. Wiąże się to z moim chyba najważniejszym tekstem – „Przygody fryzjera damsko-męskiego” – jaki napisałem, a było to w 2004 r. czyli dwa lata przed „Listą Fryzjera”. Pojechaliśmy z Pawłem Rusieckim do Wronek, bo coraz głośniej mówiło się, że „Fryzjer” jest zamieszany w różne dziwne historie w piłce. To była fajna reporterska robota. Wstąpiliśmy do słynnej restauracji „Borowianka”, gdzie przy stoliku miało dochodzić do najbardziej szemranych transakcji w polskiej piłce. Poszliśmy też do zakładu fryzjerskiego, w którym wówczas pracowała już jego córka, a na fotelu strzygł się akurat Paweł Kryszalowicz. Myśmy zresztą też



ANTONI BUGAJSKI. FOT. KRYSZYNA PĄCZKOWSKA

usiedli na fryzjerskim fotelu, żeby dłużej pogadać z córką pana Ryszarda. Ostatecznie Ryszard Forbrich spotkał się z nami w swoim wronieckim mieszkaniu, co opisaaliśmy ze szczegółami w reportażu. Przed „Fryzjerem” leżał worek leków, bo mówił, że jest człowiekiem schorowanym, a na pytanie: „Mówi się, że ma pan papiery na wszystkich”, chętnie przytaknął i powiedział, że zaraz nam je pokaże, po czym przyniósł z łazienki

kilka rolek papieru toaletowego.

- Sympatyczny starszy pan z poczuciem humoru.

- Wtedy jeszcze nie taki starszy, nie miał nawet 60 lat i – jak się niebawem okazało – był człowiekiem z największymi wpływami w polskim futbolu. Początkowo nieformalnymi sposobami dbał głównie o swoją Amicę Wronki, w której był działaczem. Ale później ustawiał dosłownie całe rozgrywki, szczególnie drugoligowe, gdzie pieniądze

były stosunkowo duże, a ryzyko niewielkie, bo w tamtych czasach nie było kamer na takich meczach. Później okazało się, że całe sezon 2003-2004 i 2005 były od początku do końca ustawione. Funkcjonował nawet cennik usług, w którym jesienią punkty można było kupić taniej niż wiosną. Zresztą po ukazaniu się naszego reportażu z Wroniek, Forbrich do mnie wydzwaniał z pretensjami o sugestię, że jest ojcem

chrzestnym piłkarskiej mafii. Straszyl mnie sądem, ale w sposób absolutnie uroczy: „Panie Antku, prawnicy mi każą pana pozwać, a ja nie chcę, bo wiem, jak jest, ale kurde oni ma każą”.

- A kiedy wyszedł z więzienia jesienią 2024 r. mieliście jakiś kontakt?

- Nie. Ostatni raz widzieliśmy się na procesie Arki Gdynia, kiedy Forbrich był już aresztowany. Wiemy, jak z tymi aresztami bywa, a on siedział już wtedy w areszcie półtora roku, czyli bardzo długo. W pewnym momencie zapadła decyzja, że dalej może odpowiadać z wolnej stopy. Pan Ryszard wyszedł wtedy przed salę sądową, gdzie czekał na niego tłum dziennikarzy, w którym i ja stałem. Zapytałem go o coś, a Forbrich zwrócił się do mnie bezpośrednio słowami: „Jest pan ch...”, panie Bugajski. Zrobił mi pan wielką krzywdę, przez pana niejedne święta musiałem spędzić w areszcie”. Zarejestrowały to obecne w sądzie reporterskie mikrofony i chyba do dzisiaj można to znaleźć w internecie. Nie bardzo jednak potrafił wyjaśnić, na czym miałyby polegać moja wina względem niego. I to była nasza ostatnia rozmowa.

ROZMAWIAŁ
Wojciech
Molendowicz



PAWEŁ WĄSEK.

Nowy polski król skoczni?

Paweł Wąsek kończył ubiegły sezon wygraną w finałowych zawodach Pucharu Kontynentalnego na Wielkiej Krokwi w Zakopanem, zarazem rezygnując z wyjazdu do Planicy na ostatnie konkursy w lotach. Teraz, po sukcesach w Pucharze Świata i mistrzostwach Polski, trudno sobie wyobrazić naszą kadrę bez 25-letniego skoczka z Wisły.

Gdy w ubiegłym roku Thomas Thurnbichler uzasadniał rezygnację Pawła Wąska z udziału w lotach na słoweńskim mamucie, sięgnął po mocny argument.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że loty narciarskie są dla niego trudne, to nie jest sekretem. Planica jest najtrudniejszym obiektem do lotów na świecie, więc uznaliśmy, że lepiej będzie zakończyć zimę z pozytywnymi odczuciami i już skupić się na odpoczynku przed rozpoczęciem przygotowań do następnego sezonu – powiedział austriacki szkoleniowiec, dodając, że decyzja zapadła po konsultacji z samym skoczkiem.

Skąd wzięło się przekonanie, że loty są dla Pawła Wąska trudne? Trzeba cofnąć się o jedenaście lat, gdy 14-letni wówczas chłopak zaliczył groźny wypadek na skoczni w Wiśle. Podmuch wiatru z boku sprawił, że wykręcił salto w powietrzu i upadł na bulę. Stracił przytomność, z nosa miał silny krwotok. Został odwieziony do szpitala, tam okazało się, że wprawdzie nie doznał złamań, ale miał silne wstrząśnienie mózgu, co okazało się brzemienne w skutkach.

Nabawił się strachu przed skokami – gdy na górze mocno wiało, wracały złe wspomnienia, jeszcze długo nie mógł sobie z nimi dać rady. Z biegiem czasu, stopniowo osławając się z coraz większymi obiektami i odległościami, wyrzucił z głowy obawy i zaczął skakać na miarę swojego wielkiego talentu. Niewątpliwie sporą rolę odegrał w tym procesie jego ojciec Krzysztof, pasjonat motoryzacji, podając synowi za przykład motocyklistów, którzy po wypadkach wracają i nadal

z powodzeniem startują w zawodach.

Najtrudniej przełamywanie psychicznego oporu szło Pawłowi na mamutach, czego potwierdzeniem była debiutancka próba treningowa na słoweńskiej Letalnicy przed trzema laty, po której nie dane mu było wystąpić w pucharowych zawodach.

– Od lat nie opuszcza mnie strach na skoczni. Staram się z tym walczyć, bo mam marzenia, które chcę spełniać. Próbuje to przełamać. Planica to obiekt, który budzi respekt każdego zawodnika. Wylatuje się wysoko. Po pierwszym skoku, kiedy musiałem awaryjnie lądować, pojawiło się jeszcze więcej wątpliwości. Kiedyś myślałem, że już nigdy nie skoczę na 120-metrowym obiekcie. Czas leci, łapałem doświadczenie na coraz większych skoczniach i próby na dużych obiektach w zasadzie nie sprawiają mi problemu – tłumaczył reporterowi skijumping.pl w 2022 roku.

Dużą rolę w wyprowadzeniu Wąska z mentalnego kryzysu odegrał Jan Szturc. Uznany szkoleniowiec, wujek, a zarazem pierwszy trener Adama Małysza, co kilka lat wprowadza do świata skoków kolejnych wychowanków. W obecnej kadrze ma ich dwóch: urodzonego w 1994 roku Aleksandra Zniszczoła i młodszego o pięć lat Pawła Wąska.

– Zaczęłem współpracę z Olkiem w 2006 roku, ale obserwowałem go już jako dzieciaka, gdy przyszedł na pierwsze treningi – opowiada nam Jan Szturc. – Od dwunastego roku życia trenował ze mną, jeździł pod moją opieką na zgrupowania i zawody, do momentu, gdy przeszedł do szkoły sportowej w Szczyrku. Ja byłem odpowiedzialny za kadrę wojewódzką, mieliśmy konsultacje, czy to w Szczyrku, czy w Zakopanem, wyjeżdżaliśmy też na zawody do Niemiec, Czech. Natomiast Paweł przeszedł pod moją opiekę w 2011 roku i tak jak Olek trafił do kadry wojewódzkiej.

Szturc dodaje, że Wąsek zawsze wyróżniał się chęcią słuchania uwag trenera i – co ważniejsze – wcale na tym nie poprzestawał.

- Ciąg dalszy następną stronę

– Wielką zaletą Pawła jest to, że wszelkie uwagi od razu wdraża na skoczni. Dlatego muszą odpowiednio dobierać słowa, bo Paweł od razu próbuje dokonywać poprawek. Potrafi ze skoku na skok wiele zmienić. I to skutecznie. Niewielu zawodników ma taką zaletę – stwierdził w rozmowie z Onetem Maciej Maciusiak, obecnie asystent w kadrze trenera Thurnbichlera.

Zanim Wąsek trafił pod skrzydła Szturca i Maciusiaka, skakał pod okiem dziadka, Władysława Pytla, który był trenerem w Olimpii Góleszów. Można by rzec, że Paweł był skazany na uprawianie sportu. Bo przecież także jego wujek, Mirosław Pytel, skakał na nartach, mama Grażyna uprawiała biegi narciarskie, natomiast ojciec Krzysztof był zdolnym alpejczykiem, trenował w kadrze wraz z Marcinem Szafrąńskim (obecnie komentatorem Eurosportu), ale musiał zakończyć profesjonalną karierę, gdy zerwał więzadła w kolanie. W ślady ojca poszła Katarzyna, o trzy lata starsza siostra Pawła, choć dziś jeździ na nartach już tylko amatorsko.

– Finansowo dla moich rodziców byłoby trudno, gdybym ja również chciał być alpejczykiem, bo to dyscyplina, w której za prawie wszystko trzeba sobie samemu płacić. Siostra oddała jakieś skoki, ale ostatecznie została przy narciarstwie zjazdowym – mówił Wąsek w rozmowie ze skijumping.pl, tłumacząc, dlaczego u niego padł wybór na skoki, bo początkowo także próbował sił jako alpejczyk.

– Jako dzieciak miał przede wszystkim dużo ogólnorozwojówki. Zaczynaliśmy od akrobatyki, skoków z wieży w basenie, skuterów wodnych, latem był nawet tenis. Przygodę z narciarstwem zaczęliśmy od zjazdów. Było ustalone, że do 10. roku życia Paweł musi się porządnie nauczyć jeździć, a dopiero potem pójdzie na skoki. Ale nie wytrzymał, poszedł trenować skoki już jako dziewięciolatek – opowiada nam Krzysztof Wąsek, ojciec skoczka.

W 2014 roku zadebiutował w zawodach FIS Cup, a rok później wystąpił w Zimowym Olimpijskim Festiwalu Młodzieży. W lutym 2016 roku w trzy dni wywalczył w Harrachovie trzy złote medale Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży, a mistrzostwa świata juniorów w 2017 roku zakończył na 7. miejscu.

Brązowym medalem na mistrzostwach Polski w grudniu 2021 roku wywalczył sobie miejsce w kadrze na igrzyska olimpijskie i w Pekinie na obiekcie K-125 zajął 21. pozycję. Startując w cieniu osiagających gigantyczne sukcesy Kamila Stocha, Dawida Kubackiego i Piotra Żyły, stał się zawodnikiem, z którym zaczęto wiązać coraz większe nadzieje. Narciarska Polska domagała się następców wielkich mistrzów i Paweł Wąsek coraz śmielej zaczął odpowiadać na te oczekiwania.

Co, poza wynikami, stało za przekonaniem, że i on kiedyś będzie mógł się określać mianem króla skoczni? Jan Szturc ujawnia nam, że dużą rolę w nauce skakania odegrały u Wąska treningi... kombinacji norweskiej.

– Gdy prowadziłem zajęcia w klubie i byłem trenerem kadry wojewódzkiej, to wszyscy moi podopieczni musieli startować w kombinacji – wyjaśnia szkoleniowiec WSS Wisła. – Za wzór zawsze dawałem im Adama Małysza, który do 17. roku życia uprawiał kombinację norweską. I oni uznawali, że skoro sam Adam tak startował, to i oni mogą biegać, a nie tylko skakać. Większość z czołówki światowej ma to za sobą, bo w szkołach sportowych w Austrii i w Niemczech każdy zawodnik do 15. roku życia musi uprawiać kombinację i dopiero później następuje specjalizacja. Paweł też pobierał takie nauki.

Wąsek startów na dwukilometrowej pętli w zawodach kombinacji nie lubił, ale dziś przyznaje, że opanowanie sztuki biegania i zjeżdżania na nartach teraz mu się bardzo na zeskoku przydaje. Podobnie jak starty w motocrossie, którymi zaraził go ojciec, właściciel warsztatu elektromechaniki pojazdów. Dziś skoczek nie jeździ na motocyklu z uwagi na ryzyko odniesienia kontuzji, za to realizuje motoryzacyjną pasję, gorąco kibicując Maksowi Verstappenowi w Formule 1 oraz ścigając się w wirtualnym świecie jako kierowca na symulatorze ustawionym w rodzinnym domu w Ustroniu.

W styczniu tego roku, na tydzień przed zawodami Pucharu Świata w Zakopanem, Wąsek na Wielkiej Krokwi po raz pierwszy w karierze pokonał w mistrzostwach Polski całą krajową czołówkę. A przecież minęło już siedem lat od jego debiutu w Pucharze Świata i pięć jak wywalczył szóste miejsce na zawodach PŚ w Niżnym Tagile. Co świadczy tylko o tym, jak wielka konkurencja panowała przez ostatnie lata w naszej kadrze.

26 stycznia w Oberstdorfie Paweł Wąsek przełamał na mamucie wszystkie bariery. Lądując na 233. metrze poprawił rekord życiowy w długości lotu o 17,5 metra i w konkursie Pucharu Świata zajął czwarte miejsce.

– Paweł latał fenomenalnie. Wiedzieliśmy, że stać go na podium, a teraz wiemy, że stać go na podium także w lotach – skomentował Thomas Thurnbichler, który najbardziej cieszył się z tego, że jego podopieczny posłuchał jego rad po zawalonych skokach w Oberstdorfie dzień wcześniej.

Dziś Paweł Wąsek najodważniej z naszych kadowiczów puka do pucharowej czołówki i właśnie z jego startem na mistrzostwach świata w narciarstwie klasycznym, które odbędą się w Trondheim od 26 lutego do 9 marca, wiążemy największe nadzieje.

Krzysztof Kawa



FOT. ARCHIWUM FIRMY WIŚNIEWSKI

ROZMOWA Z MONIKĄ MŁYNARCZYK, DYREKTOR MARKETINGU FIRMY WIŚNIEWSKI.

Paweł wpisuje się w wartości naszej MARKI

Jak odbieracie w spółce ostatnie sukcesy Pawła Wąska w narciarskim Pucharze Świata?

Cała firma kibicuje Pawłowi, a współpraca ze sportowcami na takim poziomie to zaszczyt. Skoczek nie tylko godnie reprezentuje Polskę na arenie międzynarodowej, ale także

promuje wartości, które są bliskie naszej marce – zaangażowanie, wytrwałość i dążenie do doskonałości. Mamy nadzieję, że dostarczy nam w tym sezonie jeszcze wielu sportowych emocji.

Czy czujecie się jak inwestor, który bardzo dobrze ulokował pieniądze w czasie bessy,

a teraz może się cieszyć ze wzrostu notowań i solidnej dywidendy?

Oczywiście cieszymy się, że Paweł jest w dobrej formie, bo to tylko potwierdza słuszność podjętej decyzji. Nie był to jednak przypadek – do potencjalnej współpracy zawsze podchodzimy z rozwagą,

analizując zarówno możliwe korzyści, jak i ewentualne ryzyka. Już na etapie rozmów byliśmy przekonani, że Paweł Wąsek to właściwa osoba, z którą warto budować długoterminową relację. Cieszymy się, że wspólne działania przynoszą efekty!

- Ciąg dalszy ` następna strona

Czy wpływ na tę decyzję miał fakt, że właśnie ten skoczek najlepiej spisywał się w letniej Grand Prix, co było pierwszą jaskółką jego późniejszych sukcesów w zimie?

Rozmowy na temat sponsoringu zaczęliśmy jeszcze zanim rozpoczął się sezon, natomiast sfinalizowanie umowy nastąpiło tuż po jego zakończeniu. Można było zauważyć dobrą formę Pawła jeszcze przed letnią Grand Prix, już wtedy miał dobre wyniki, ale równie ważne były inne aspekty. Paweł wpisuje się w wartości naszej marki swoją postawą, jako człowiek i sportowiec. To jest chłopak bardzo zmotywowany do pracy, bardzo obowiązkowy, nie budzący kontrowersji.

Jaki Paweł Wąsek jest na co dzień?

Jest słowny, tak jak zadeklarował, pojawił się u nas na WIŚNIEWSKI BUSINESS CLUB dzień po zawodach Pucharu Świata w Zakopanem, w których zajął piąte miejsce. To człowiek z dużą pokorą, skromny, budzący ogromną sympatię, co podkreślało również grono 100 naszych najlepszych partnerów handlowych obecnych na wydarzeniu. Zaraz po spotkaniu w Nowym Sączu Paweł wrócił do intensywnych treningów.

Po pierwszym dniu zawodów w Oberstdorfie wszyscy wstrzymaliśmy oddech, ale już kolejnego dnia Paweł miał swoją „życiówkę”, więc śmiejemy się, że nasze spotkanie dodało mu skrzydeł.

Czy w planach firmy są inne aktywności marketingowe związane ze sportem? Przed kilku laty spółka WIŚNIEWSKI była sponsorem piłkarskiej reprezentacji Polski...

Jeśli chodzi o Reprezentację Polski w Piłce Nożnej, to rzeczywiście nasza współpraca przypadła na złoty

okres kadry, kiedy drużyna narodowa dotarła do ćwierćfinału Euro 2016. Chyba wszyscy pamiętamy te gorące emocje! W ostatnich latach skupiliśmy się jednak na promowaniu innych dyscyplin, marka WIŚNIEWSKI była oficjalnym sponsorem polskiej reprezentacji narodowej w siatkówce podczas Mistrzostw Europy czy partnerem finałowego turnieju Ligi Mistrzów w piłce ręcznej w Kolonii. Inwestując w młode talenty, wspieraliśmy również turniej Sokolik Cup U10 czy klub Global Cheer NS podczas Mistrzostw Świata w Cheerleadingu

w Orlando w Stanach Zjednoczonych. We współpracy z naszymi kluczowymi partnerami w całej Polsce, wspieramy także inne lokalne kluby w różnych dyscyplinach. Na przykład Bramex sponsoruje żużlową drużynę Wilki Krosno, a Hilak zespół siatkarki Lechii Tomaszów Mazowiecki. Dodam, że nie ograniczamy się do naszego kraju, bo we Francji sponsorujemy drużynę kolarską Club Cycliste Marmande, w tym prawdziwe gwiazdy startujące w barwach tej ekipy, takie jak Alban Picard czy Lenaïc Langella.

ROZMAWIAŁ
Krzysztof Kawa



FOT. ARCHIWUM FIRMY WIŚNIEWSKI

Sila
Pasji

Mgr Mors

ARTYSTA STREETOWY

RAL 7016

RAL 9005

RAL 7022

3 KOLORY
DO WYBORU

3 kolory
oblachowania
w standardzie

NOWA GENERACJA OKIEN DACHOWYCH **GREENVIEW** w nowoczesnym designie

Okna **GREENVIEW** powstały z pasji tworzenia i zmieniania świata. Przedstawiamy nową generację okien dachowych, które łączą najwyższe standardy funkcjonalne i estetyczne z wysoką energooszczędnością i wyjątkową akustyką.

Okna dachowe GREENVIEW dostępne są w trzech kolorach oblachowania: antracyt RAL 7016, czarny RAL 9005 oraz szarobrzązowy RAL 7022.



Poznaj moją
pasję

FAKRO®

konkurs **SUPERWOMEN** *czyli Wy!*

**Wygraj nagrody od marki Douglas
o łącznej wartości 1500PLN!**



Minionych 15 lat DTS Wydawnictwa Dobre, to mnóstwo ciekawych zdarzeń. Ambitnych, często szalonych pomysłów projektów, które braliśmy na warsztat. W naszej branży obowiązują reguły podobne jak na morzu. Jeśli jesteś niedużym statkiem, to łatwo szybko zmienisz kurs, zmierzając do nowego celu, który sobie sam wyznaczasz. Zwrotność szybkość reakcji jest twoim atutem. Pojawia się dobry pomysł, to go realizujesz. Jeśli jesteś trybikiem wielkiego koncernu, twoja droga od pomysłu do realizacji jest bardzo długa, czasami niemożliwa do przebycia, bo transatlantyki łatwo nie zmieniają kursu.

Za nami 15 lat pełnych przygód, które są naszą pracą. Nigdy się w niej nie nudzimy, często rano nie mamy pojęcia, co przyniesie wieczór. Tu nawet nie wspominamy o naszych reportażach trzymających rękę na pulsie regionu dts24, bo to osobny rozdział Wydawnictwa Dobre. Poniżej krótko opowiadamy o wybranych przedsięwzięciach, które zostały na długo w naszej pamięci. Wszystkich wymienić nie możemy, bo nawet wydanie jubileuszowe ma przecież granice objętości.

15 na wydarzeń 15 lat dts²⁴

1

13 stycznia 2011 r. - z taką datą ukazało się pierwsze bezpłatne wydanie DTS, czyli 14. kolejny numer naszej gazety. Jak się niebawem okaże, zmiana z gazety płatnej na bezpłatną była decyzją fundamentalną. Najlepszą. Taka bowiem wersja dostępu do tygodnika pozwoliła nam docierać do takiej ilości Czytelników, o jakiej nam się w 2011 r. nawet nie śniło. Ale o tym za chwilę. Oczywiście pierwszy - płatny - numer gazety ukazał się 30 września 2010 r.



2

11 lutego 2014 r. odwiedził nas w redakcji najbardziej zapracowany wówczas człowiek w Polsce, selekcjoner kadry narodowej Adam Nawałka. To było niezapomniane spotkanie z sądeckimi kibicami na zaproszenie DTS i firmy Fakro. Kilka miesięcy później na tydzień przed zwycięskim meczem eliminacyjnym z Niemcami, z inicjatywy partnerów reprezentacji, sądeckich firm Fakro i Wiśniowski, zorganizowaliśmy w Warszawie konferencję sportową m.in. z udziałem trenera Nawałki.

Kiedy w redakcji pojawił się pomysł, by przygotować specjalne wydanie gazety z okazji mającego przejechać w 2015 r. przez Sądcczyznę etapu Tour de Pologne, ktoś mógł uznać ten pomysł za lekko kosmiczny. Ale kosmiczny był raczej efekt, jaki udało nam się tym osiągnąć. 48 stron

od pierwszej do ostatniej poświęcone rowerom i kolarstwu! 35 tysięcy papierowych egzemplarzy DTS trafiło nie tylko do kibiców zgromadzonych wzdłuż trasy wyścigu. Etap wygrał Maciej Bodnar, ale to my mieliśmy poczucie, że ubraliśmy tego dnia żółtą koszulkę lidera.

15 na wydarzeń 15 lat dts.

Do dziś pamiętamy smak tortu, który z okazji 5. urodzin Wydawnictwa w 2015 r. przygotowała dla naszej redakcji pani Wiktoria Majerska – Kondek. Na panią Wiktorię od pierwszego dnia istnienia DTS możemy

bezwzględnie liczyć. Dzięki niej na Żywieckiej 25 czujemy się jak w domu. A smak tamtego tortu, zjedzonego przez naszych gości, niektórym śni się po nocach, chociaż talerzyki po nim zostały umyte już 10 lat temu.

W 2017 r. powróciliśmy do pierwotnej nazwy naszego portalu internetowego czyli dts24.pl. Trzy lata później portal zyskuje nową szatę graficzną i niebawem z wynikiem 3 mln odsłon miesięcznie staje się jednym z naj-

chętniej czytanych portali informacyjnych regionu. Oprócz ilości odwiedzin, przykładamy również wagę do jakości publikowanych materiałów i różnorodności proponowanych form dziennikarskich. Ale o tym sami wiecie.

22 czerwca 2017 r. wspólnie z naszymi przyjaciółmi z Bardejowa wydaliśmy pierwszą polsko-słowacką gazetę. Dwujęzyczną, kolportowaną po obydwu stronach granicy – DTS i „Bardejowski Reporter”. Odbiorcy i reklamodawcy zareagowali entuzjastycznie, a wydanie idealnie wpisało się w potrzeby bardzo ożywionego

w tamtym czasie przygranicznego handlu. Później do Czytelników trafia jeszcze sześć polsko-słowackich wydań. Dopiero pandemia koronawirusa i m.in. zamknięcie granic kończy ten projekt. Na zdjęciu szef naszego działu kolportażu Mateusz Węglowski-Król z dumą prezentuje ogromny nakład DTS przed drukarnią w Sosnowcu.



W maju 2018 - Nowy Sącz stanął w największym korku w 726-letniej historii miasta. Po zamknięciu mostu helleńskiego sznur samochodów wydawał się nie mieć nigdzie końca. To w tamtym czasie przygotowaliśmy kolejne wydania DTS do korka. Dziesiątki tysięcy egzemplarzy roz-

nosiliśmy całą redakcyjną ekipą wręczając podróżnym udreżonym komunikacyjnym bezruchem i upałem. Jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy tyle sympatii od ludzi, co w maju 2018 r. Korkowego wydania gazety nie przyjmowali od nas tylko kierowcy niepotrafiący czytać.

8 28 czerwca 2018 r. ukazało się ekskluzywne, ob-szerne wydanie DTS 400+. Tytuł pochodził od aktualnego numeru pi-sma, ale idealnie wpisywał się w ogólnopolski klimat panujący wokół wprowadzonego chwilę wcześniej

świadczenia 500+. Gazeta była oczywiście bezpłatna. Tym większe było nasze zdumienie, kiedy kilka tygodni później zobaczyliśmy DTS w internecie na jednym z portali aukcyjnych... do kupienia za 20 zł! To się nazywa przedsiębiorczość!



10 LAT

SZPITALA POŁOŻNICZO GINEKOLOGICZNEGO MEDIKOR

**Mieszkanki Nowego
Sącza nam ufają!**

To już 10 lat naszego
doświadczenia,
pełnego Waszych
historii, łez szczęścia,
emocji i wzruszeń.

 /@cmmedikor

 /medikor_nowysacz

 szpital.medikor.pl

W maju 2019 r. ogłosiliśmy pierwszą edycję naszego rankingu Genialni Lokalni Globalni. Wygrała Joanna Kulig, aktorka z Muszyny, odtwórczyni głównej roli w nagrodzonym Złotą Palmą filmie „Zimna Wojna”. Nasz ranking honoruje największe dokonania wywodzących się regionu artystów zdobywających ogólnopolskie

i światowe laury. Najbardziej wzruszający moment związany z GLG miał miejsce w 2023 r. Podczas wizyty w domu kompozytora Zbigniewa Preisnera wręczyliśmy mu (nie mógł być obecny na gali) nasz skromny klaps filmowy, a artysta przesunął na półce nagrodę Grammy i... zrobił miejsce dla nas. Bezcenne!

15 na 15 wydarzeń lat dts.

10

Luty 2020 r., zbliżało się 10-lecie Wydawnictwa. Już rozesłane były zaproszenia na nasz urodzinowy spektakl do Teatru Nowego i... Ani jednego dnia w okresie pandemii nie spędziliśmy poza redakcją. Codziennymi spotkaniami oraz intensywną pracą

dodawaliśmy sobie wspólnie otuchy w tym trudnym okresie. Tylko jedno wydanie DTS ukazało się wówczas wyłącznie w wersji elektronicznej. Do normalnego kolportażu wersji papierowej – mimo licznych ograniczeń – wróciliśmy już tydzień później.

11



Nasi piłkarze w 2022 r. jadą na Mundial do Kataru. W grudniu! Nasza decyzja może być tylko jedna. Wspólnie z partnerami polskiej reprezentacji przygotowaliśmy specjalny magazyn poświęcony występom naszej drużyny na wszystkich wcześniejszych mistrzostwach świata. Najlepsi dziennikarze piłkarscy w kraju, relacjonujący mundiale z ostatnich 40 lat, tworzą z nami 100-stronicowe wydanie DTS. Jako jedyni możemy się pochwa-

lić wywiadem z byłym selekcjonerem Adamem Nawałką. DTS Mundial cytowały wszystkie największe media w Polsce, a nasza gazeta okazała się bodaj najobszerniejszym wydawnictwem z okazji tamtych mistrzostw. Była też multimedialna. Bezpośrednio z łamów QR kod przenosił Czytelników do wywiadów wideo z aktualnymi reprezentantami Polski w kanale Foot Truck. Prawdziwa gratka nie tylko dla piłkarskich kibiców i kolekcjonerów.

Na premierę naszego z Pawłem Leśniakiem dokumentu „Tempo, zwykła historia, niezwykłej gazety” do krakowskiego kina Kijów, 23 czerwca 2023 r., przyszło blisko pół tysiąca osób. Wydarzenie było połączone z promocją specjalnego wydania DTS Igrzyska Europejskie. 45-minutowy film zadedykowali-

śmy zmarłemu kilka miesięcy wcześniej Ryszardowi Niemcowi – jednemu redaktorowi naczelnemu trzech krakowskich gazet: „Tempa”, „Gazety Krakowskiej” i „Dziennika Polskiego”. To był wzruszający wieczór, który zdawał się nie mieć końca, podobnie jak spotkanie kilku pokoleń dziennikarzy krakowskich mediów.

12.

13.

Wiosną 2024 r. zorganizowaliśmy sądeckie targi edukacyjne. To jedna z tych decyzji, o której słuszności byliśmy przekonani niemal natychmiast po jej podjęciu.

Blisko tysiąc młodych ludzi odwiedziło targi ze swoimi nauczycielami, a z wystawcami już umówiliśmy się na kolejną edycję. Czyli to już niebawem.

Igrzyska Olimpijskie w Paryżu w 2024 r. to kolejne magazynowe wydanie DTS w objętości ponad 100 stron! Dzięki mrówczej pracy najważniejszego autora tej gazety – Ireneusza Pawlika –

powstaje bezkonkurencyjne kompendium wiedzy o wszystkich wcześniejszych igrzyskach. Wydanie doceniają Czytelnicy i Reklamodawcy. W obydwu kategoriach pobijamy kolejne rekordy.



Po magazynowe wydanie DTS Biznes z 14. edycją listy 100 największych sądeckich firm sięgnęło w wersji elektronicznej blisko 80 tysięcy Czytelników. Gazeta ukazała się 21 listopada 2024 r. w objętości ponad 100 stron. Wydanie to utwierdziło nas w przekonaniu, że decyzja z 2010 r. była najlepszą, jaką mogliśmy podjąć. Nie rezygnując z jakościowego dziennikarstwa, przygotowywane przez nas treści udostępniamy bezpłatnie. Synergii jakości i dotarcia do szerokiego grona odbiorców docenili również Reklamodawcy. To nasz

wspólny sukces. Dziękujemy! Kilka dni później wspólnie z Newagiem, WSB-NLU, Fakro oraz Fundacją Pomyśl o Przyszłości zorganizowaliśmy konferencję pod hasłem „Czy druga rewolucja kolejowa zmieni oblicze Nowego Sącza i regionu?”. To pierwszy taki głos w dyskusji o tym, jak szybkie połączenie kolejowe do Krakowa – realizowana obecnie największa inwestycja infrastrukturalna w regionie – może wpłynąć w najbliższej przyszłości na losy Sądeckizny. Dyskutowali naukowcy, przedsiębiorcy, samorządowcy.

15.

50 LAT

Małopolskie
Centrum Kultury
SOKOŁ
w Nowym Sączu

Instytucja Kultury
Województwa
Małopolskiego



mcksokol.pl

f @ ▶ /mcksokol

PRZYSZŁOŚĆ NABIERA TEMPA

NEWAG S.A. ma stabilną i wyjątkowo mocną pozycję na rynku elektrycznych zespołów trakcyjnych oraz lokomotyw w Polsce. W ostatnich latach grupa kapitałowa NEWAG S.A. zdominowała krajowy rynek produkcji elektrycznych zespołów trakcyjnych, lokomotyw elektrycznych oraz modernizacji lokomotyw spalinowych.



UNIKALNY DOKUMENT OPOWIADAJĄCY SŁYNNĄ HISTORIĘ NA NOWO

Cena za życie JANA KARSKIEGO

W przeprowadzkach, nawet tych z piętra na piętro, jest coś, co lubię i co zdarza się niemal za każdym razem: moment, gdy spomiędzy książek i segregatorów przenoszonych z jednego miejsca w inne, wypada pożółkła kartka albo wyblakła fotografia i wydobywa z pamięci słowa, obrazy, myśli, emocje, pytania. Zdarzyło się to ponownie tej zimy, choć nieco inaczej niż zawsze. Kartki maszynopisu wysunęły się zza okładki gazety sprzed kilkunastu lat. Z gęszczy wyrazów wyłowiłam szybko imiona: Zosia, Zbyszek, Jan... i stałam się w jednej chwili kłębkim gniewu na samą siebie. Jak mogłam zapomnieć?! Panie Władku... Czemu Pan nie przypomniał?

Pan Władek w 2019 r. przeprowadził się do wieczności, więc nawet nie mam jak oddać maszynopisu, który przed laty wcisnął mi w ręce podczas jednej z „herbatek” na poddaszu przy ulicy Lwowskiej 13 ze słowami: napisz o tym kiedyś dziecko, bo trzeba, żeby ludzie pamiętali. Następna myśl, która pojawiła się w mojej głowie brzmiała: a może właśnie przypomniał?

Nawaliłam, ale nie na amen. Prośba sprzed lat nie miała

terminu ważności, więc spełniam ją teraz ufając, że Pan Władysław będąc tam, gdzie wszyscy zmierzamy, nadal dużo czyta. Na pewno się nie gniewa. Tego jestem pewna. Był uosobieniem życzliwości. Był przyjacielem Zbyszka i Zofii Rysiów. Dziewięć kartek maszynopisu Wandy Ryś, który powstał dokładnie ćwierć wieku temu, posłużyło do przypomnienia poniższej historii.

Matejki 2, Lwowska 13

Ojciec Zbyszka i Zosi był austriackim urzędnikiem kontroli skarbowej, pochodził z Mordarki koło Limanowej. Mama – Helena wywodziła się ze szlacheckiej rodziny Malinowskich, która po rzezi galicyjskiej uciekła z Korzennej i osiedliła się w Nowym Sączu.

Zbyszek urodził się 1 stycznia 1914 r. Od dziecka był „żywym srebrem”. W pamiętnikach jego starszej siostry Wandy można przeczytać, że był zdrowy, silny i sprawiał wiele kłopotów wychowawczych. „*Mój temperament podsuwał mi nieustannie wiele różnych pomysłów, które mogły być groźne dla mojego życia (...) Moja dobra Matka nie mogła okiełznać mego temperamentu, a uczyniło to dopiero*

harcerstwo. (...) W harcerstwie nauczono mnie dyscypliny, szacunku dla starszych i słabszych, miłości do Ojczyzny...

Dzięki harcerstwu pokochałem też sport. Zaczęłem uprawiać lekkoatletykę, narciarstwo, łyżwiarstwo, kajakerstwo, a pływałem, jak szatan! Nie straszne mi były zdradliwe wiry Dunajca. Jakże mi się to potem, w czasie wojny, przydało!”

– stwierdził po latach spisując swoje wspomnienia. W 1933 r., po ukończeniu Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu wskoczył w mundur, najpierw wojskowy - Strzelców Podhalańskich, a później – od 1 stycznia 1937 r. w mundur Straży Granicznej.

Zosia uszczęśliwiła rodziców przychodząc na świat sześć i pół roku po Zbyszku - 17 maja 1920 roku. Józef nie nacieszył się długo córką. Zmarł nagle, gdy miała trzy miesiące. Zostawił w doświadczeniu 40-letnią wdowę z siedmiorgiem dzieci Bronkiem, Władkiem, Zbyszkim, Wandą, Stasią, Marysią i Zosią. Ich azylem stał się dom przy ul. Matejki pod numerem 2 w Nowym Sączu, odziedziczony po rodzicach Heleny.

- Ciąg dalszy następna strona

W szkolnych latach Rysiówna błysnęła aktorskim i wokalnym talentem, szlifowanym przez nauczyciela Bolesława Barbackiego, który przygotowywał zdolną Zośkę do scenicznych debiutów na deskach sądeckiego Sokoła. Po maturze w Gimnazjum Żeńskim im. M. Konopnickiej w 1938 r. wyjechała do Warszawy na studia aktorskie, ale jak się okazało – na krótko. Z wakacji 1939 r., które spędzała z rodziną w Nowym Sączu, już nie dało się wrócić do Warszawy. W życie ludzi wtargnęła wojna.

- Latem 1939 roku przyjechałam do Nowego Sącza na wakacje. Mama bardzo się cieszyła. Zgotowała knedle ze śliwkami, które bardzo lubiłam... I tak się poskładało, że do Warszawy już nie można było wracać. Brat pierwszy zaczął konspirować. A ja przy nim. To nie tak, że ja postanowiłam sobie, że cokolwiek zrobię. To historia przyszła do mnie, zastukała do drzwi i trzeba było wykonać zadanie – wspominała Zofia w 1999 r. w audycji nagrywanej dla Polskiego Radia.

Wanda: „W pierwszych dniach czerwca 1940 roku, już po godzinie policyjnej, która obowiązywała w okupowanym kraju, do naszego domu w Nowym Sączu przy ulicy Matejki 2, zgłosił się nieznany młody człowiek, podał hasło i zapytał o Zbigniewa Rysia. Brat już dla ostrożności nie nocował w rodzinnym domu, a w sąsiedztwie, u przyjaciela Władysława Żaroffego, przy ulicy Lwowskiej 13. Przybyszem zaopiekowała się młodzieńka siostra Zosia, która już była zaprzysiężona przez tajną, wojskową organizację ZWZ, działającą w okupowanym kraju...”¹

- Zabrzmi to śmiesznie, ale ja w ogóle nie wiedziałam,

że jestem w konspiracji. Przysięgę złożyłam mojemu bratu i nie wypytywałam go o żadne szczegóły, a on też mi się nie zwierzał z tego, co robi. Wszystko polegało na pewnych moich domysłach. Mój brat wychodził ze słusznego założenia, że jak ktoś nie wie, to nigdy tego nie powie – opowiadała Zofia Rysiówna.

Zosia zaproponowała przybyszowi nocleg i obiecała, że następnego dnia postara się o kontakt z bratem.

Szach

Człowiek, który zgłosił się do Rysiów po pomoc w przedostaniu się na Węgry, przedstawił się jako Jan Piasecki. W rzeczywistości nazywał się Jan Kozielski i używał pseudonimu „Witold”. Do historii przeszedł jako Jan Karski – emisariusz polskiego rządu na uchodźstwie, świadek hitlerowskich zbrodni, łącznik Polski Walczącej i reszty cywilizowanego świata nieświadomej tego, co dzieje się nad Wisłą. Rano do akcji wkroczył Zby-



ZOFIA I ZBIGNIEW RYSIOWIE PRZED RODZINNYM DOMEM PRZY UL. MATEJKI. 1939 ROK. ZDJĘCIE Z ARCHIWUM RODZINNNEGO RYSIÓW

¹ Maszynopis „Moje wspomnienia z okresu II wojny światowej o prof. Janie Karskim, emisariuszu Rządu Londyńskiego; Wanda Rys - Strasznińska

szek, który zabrał przybysza na Lwowską 13, do Władka Żaroffe, a po dwóch dniach wyprawił go w drogę przez Słowację na Węgry, powierzając opiece zaufanego przewodnika, górala Franciszka Musiała. W słowackiej wsi Demjata wojna oznajmiła Karskiemu: szach. Mało brakowało, a byłby mat.

„Koło Preszowa, bardzo zmęczeni, postanowili odpocząć u nieznanego im Słowaka, co okazało się karygodnym błędem i co pociągnęło za sobą fatalne skutki. Słowak zdradził i natychmiast ich aresztowano. Przy Karskim (...) znaleziono resztki mikrofilmu, którego nie zdążył całkowicie zniszczyć, oraz fiolkę z cyjankiem. Słowacka policja natychmiast zorientowała się, z kim ma przyjemność rozmawiać i postanowiła wydać go najbliższemu gestapo w Muszynie. Gdy po jednym z przesłuchań Karski wrócił do celi (...) wyciągnął ukrytą w bucie żyłkę i podciął sobie żyły u obu rąk. Na taki makabryczny widok któryś ze współwięźniów krzyknął, na co wpadła policja i tamując w sposób byle jaki upływ krwi, bezzwłocznie samochodem zawiozła Karskiego do Muszyny. Stamtąd gestapo zabrało Karskiego do najbliższego szpitala w Nowym Sączu. (...) Personelowi lekarskiemu nakazano otoczyć więźnia szczególną troską” – wspominał Zbigniew Ryś.

Młyńska 10

Wiedza, jaką posiadał Karski, byłaby dla Niemców bezcenna do wdrożenia zabójczych ciosów w Polskę Walczącą. Dlatego odbicie go z rąk hitlerowców stało się dla ludzi konspiracji wyzwaniem na wagę życia tysięcy ludzi.

Więść o wpadce Karskiego dotarła do inspektoratu ZWZ dzięki ordynatorowi w sądeckim szpitalu - doktorowi Janowi

Słowikowskiemu. Był gimnazjalnym kolegą Zbyszka Rysia i podobnie jak on - zaprzysiężonym żołnierzem ZWZ.

Jeszcze tego samego dnia, w którym Karski znalazł się ponownie w Nowym Sączu, Zbyszek Ryś otrzymał od swoich dowódców zadanie: odbić pacjenta. Skrzyknął przyjaciół: Karola Głoda, Tadeusza Szafrana i Józefa Jeneta. Początkowo nie miał pojęcia, że w akcję została zaangażowana również jego młodsza siostra - Zosia.

Gambit

Karski za pośrednictwem doktora Słowikowskiego przekazał, że chce się z nią widzieć. Była jedyną osobą w Nowym Sączu, której nazwisko i adres znał. Przebrana za siostrę szpitalną weszła do sali niedoszłego samobójcy. Jak później opowiadała: „leżał z zabandażowanymi do łokci rękami, twarz miał rozgorączkowaną. Nie prosił, ale żądał, żebym udała się do Krakowa natychmiast na ul. Czarodziejską 52 organizować pomoc. Jemu zaś do szpitala miałam podać truciznę i nożyczki. «Przesłuchań nie przetrzyma absolutnie» – twierdził”.

Karski nie wierzył, że zostanie odbity przez ludzi z Nowego Sącza. Dlatego naraził życie 20-letniej wówczas Zosi. Zgodnie z jego dyspozycjami pojechała do Krakowa, skąd przywiozła pieniądze, które ułatwiły przeprowadzenie akcji i fiolkę z cyjankiem, którą Karski chciał mieć pod ręką na wszelki wypadek.

Wanda: „Po powrocie z Krakowa Zosia poszła po raz drugi do szpitala, do Karskiego, aby go zapewnić, że jego polecenia spełniła. Ostrożnie wsunęła fiolkę z trucizną pod poduszkę i szepnęła, żeby się nie spieszyć z jej użyciem, co miało oznaczać, że może liczyć na uratowanie”.

- Ciąg dalszy następna strona

MUSZYNA 2025

Chcesz podziwiać
wschód czy zachód
słońca?



SPRAWDŹ



POZOSTAŁE ATRAKCJE

Brat Zosi nie krył pretensji do Karskiego za brak zaufania i za samowolkę, którą jego siostra mogła przypłacić życiem. Nie tylko zresztą ona.

Zbyszek: „Działając na własną rękę, nie znając następstw i nie przewidując ich, naraził całą naszą organizację na niepowetowane szkody, nieszczęścia i śmierć wielu zupełnie niewinnych ludzi”.²

Akcja „szpital” - jeden z najbardziej brawurowych czynów wojennych polskiego podziemia – rozpoczęła się 28 lipca 1940 r., godzinę przed północą. Pacjenta pilnowało dwóch granatowych policjantów. Jednego z nich udało się namówić do współpracy, więc ulotnił się do toalety. Drugi dostał herbatę z porcją luminalu i zasnął.

Zbyszek: „Okno na pierwszym piętrze korytarza było otwarte (...). Po barkach Głoda wspiąłem się na przybudówkę na wysokości pierwszego piętra, chwyciłem mocno Karskiego z tyłu, tak aby nie uszkodzić mu zabandażowanych rąk, i ostrożnie, wzdłuż rynny, opuściłem go w dół, wprost w ramiona Karola. W kostnicy ubraliśmy naszego emisariusza w garnitur i rozpoczęliśmy marsz, brodząc w Kamienicy, w kierunku Dunajca, tak aby na wszelki wypadek nie zostawiać śladów psom. Szczęśliwie przeszliśmy pod dwoma mostami i dotarliśmy do ujścia Kamienicy do Dunajca. Tam Jenet wyciągnął kajak z ukrycia. Wsadziłem doń Karskiego i ruszyliśmy”.

Po drodze Karski omal nie utonął w Dunajcu, bo kajak wywrócił się i brawurowo ratowany z opresji człowiek wpadł do wody. Ryś złapał go i dopłynął z nim do brzegu, a Jenet złapał kajak. Udało się. Około 5. nad ranem cała



JAN KARSKI PODCZAS MISJI W STANACH ZJEDNOCZONYCH, LIPIEC 1943 ROKU.
FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM



ZBIGNIEW RYŚ. ZDJĘCIE Z ARCHIWUM RODZINNEGO RYSIÓW

trójka dotarła do Marcinkowic, gdzie oczekiwał na gości Jan Morawski, który przejął Karskiego i ukrył go w swojej leśniczówce pod opieką Feliksa Widła. Tam, gdy nieco wydobrzeła, rozpoczęła się jego kolejna droga – najpierw do wsi Kąty, do dworu Lucja-

na i Danuty Sławików, gdzie do lutego 1941 r. dochodził do siebie po przesłuchaniach i próbie samobójczej. A później dalej...

Zbyszek: „Pozornie błaha rzecz, dla nas akcja była poważnym przeciwnikiem szkopom,

² Zbigniew Ryś: Wspomnienia kuriera, Biblioteka „Rocznika Sądeckiego”, 2013

a tymczasem pociągnęła nieobliczalne następstwa. Blisko rok trwała cisza, aż na wiosnę 1941 r. nastąpiła wielka wysypa w sądeckim ZWZ. Jedna z Żydówek, chcąc ratować swe życie, zgłosiła sądeckiemu gestapo, że w dniu, w którym uciekł ze szpitala Karski, odwiedziła go Zofia Ryś przebrana za pielęgniarkę. Informacja ta aż nadto otworzyła oczy gestapo”.

Choć niedługo po akcji „szpital”, jesienią 1940 r. Zofia wyjechała z Nowego Sącza i schroniła się w Warszawie u Wandy – znaleźli ją.

Ave Maria

Zosia: „Niespełna rok później gestapo wpadło na nasz trop (...) W nocy 29 kwietnia 1941 r. znalazłam się na Szucha w Warszawie, później na Pawiaku, a 3 maja w Nowym Sączu. Pierwsze przesłuchanie prowadził Heinrich Hamann [szef gestapo w Nowym Sączu] osobiście. Pierwszy policzek otrzymałam za bezczelne spojrzenie «für deinen frechen Blick». Odbiłam się od ściany, bo ręce miałam związane łańcuchem i nie mogłam utrzymać równowagi. Długo starałam się przekonywać moich oprawców o mojej niewinności (...) zarządzili konfrontację z Józefem Jenetem, łącznikiem i Karolem Głodem, uczestnikami akcji [uwolnienia Jana Karskiego]. Korzystając z okazji pragnę tu tylko podkreślić, że miałam szczęście nie wymienić ani jednego nazwiska lub adresu. Może i to dodało mi siły do przetrwania czterech lat w obozie w Ravensbrück. [...] Dzień przed naszym transportem pamiętam w oknie Sądu naprzeciw celi, w której siedziałam, ukazał się karton z napisem - «Zosiu, śpiewaj dziś o 19. Ave Maria». To moja siostra, Stanisława Rysiówna i pracowniczka Sądu Maria

Kóskowska, porozumiały się ze mną. Żegnałam wtedy śpiewem moich najlepszych przyjaciół. Mojego nauczyciela Teatru Bolesława Barbackiego, kolegów brata: Tadeusza Szafrana, Stanisława Suskiego, dr. Stefana Durkota, ks. Władysława Deszcza, ks. Tadeusza Kaczmarka i wielu innych [...]”³.

Egzekucja dokonana 21 sierpnia 1941 r. w Biegonicach na 44 Polakach była zemstą Hamanna za nieposłuszeństwo polskich patriotów, między innymi za odbicie Karskiego. Na jego rozkaz zginęli między innymi Teodor Słowiński - brat lekarza, który pomógł ocalić emisariusza, jeden z granatowych policjantów Józef Jeżyk, gajowy Widel z Marcinkowic, u którego Karski ukrywał się przed ewakuacją z Polski. Zginął też Bolesław Barbacki, genialny portrecista, nauczyciel Zosi. Życie Józefa Jeneta, który odegrał jedną z kluczowych ról w akcji „szpital”, zgłosił w tym samym roku w obozie w Auschwitz. Rok później, również w Oświęcimiu, rozstrzelano Karola Głoda.

Zofia trafiła do obozu w Ravensbrück.

Powroty

Gdy Karski wydobrał, wrócił do pracy w konspiracji. Był w warszawskim getcie, był w obozie przejściowym w Izbiicy Lubelskiej, z którego Żydów transportowano do obozów zagłady. Widział umierających z głodu i rozstrzeliwanych ludzi. Jesienią 1942 r. przez Brukselę, Paryż, Barcelonę, Madryt i Gibraltar dotarł do Londynu. Złożył generałowi Sikorskiemu raport dotyczący funkcjonowania Państwa Podziemnego, relacjonował detale związane z hitlerowską akcją eksterminacji Żydów.

- Ciąg dalszy 57. strona



Fundacja Pomocy
Osobom z Autyzmem
MADA

Pomagaj

1,5% z nami!

KRS 6079

Mam
AuTYzm.

Jestem
ok.



www.mada.org.pl

www.mada.org.pl

³ „Rocznik Sądecki”, t. IX, 1968:

Gotowi na górskie wyprawy?
Ona jest zawsze.



Suzuki Vitara FL

Legenda w segmencie SUV



SUZUKI
connect

AUTO-COMPLEX

Autoryzowany Dealer Suzuki

Dane kontaktowe

Wielogłowy 188 / Nowy Sącz

18 443 22 33

www.auto-complex.pl

Opowiedział o wszystkim, co widział, również przed brytyjskim Ministrem Spraw Zagranicznych Anthonyem Edenem i ministrem wojny Henrym Stimsonem. W lipcu 1943 r. spotkał się z prezydentem Stanów Zjednoczonych Franklinem D. Rooseveltem. Nie przekonał nikogo do konieczności interwencji państw alianckich w obronie wykrwawiającej się Polski.

Zofia przeżyła obozowe piekło. Wróciła do Polski pieszo w 1945 r.

Wanda: „Brak słów na opisanie tego najszcześliwszego wieczoru, kiedy Zosia zjawiała się w rodzinnym domu w Nowym Sączu. Byłam tam z mężem i dziećmi, wysiedlona z Warszawy po Powstaniu Warszawskim. Zosia mimo tylu tragicznych przeżyć, po powrocie z obozu koncentracyjnego przywitała nas uśmiechem. Nadal była śliczna. W małym plecaczku przyniosła lalkę dla mojej córeczki i słonika dla synka.

Po pierwszej nocy w rodzinnym domu, kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że całe jej łóżko zasłane jest różami. To nasi sąsiedzi, państwo Grądalscy pozwolili siostrze Stasi zerwać wszystkie róże z ogrodu na powitanie Zosi. Wkrótce też wrócił do Nowego Sącza brat, Zbyszek. Przez cztery lata nie wiedzieliśmy gdzie przebywał, i co przez ten czas robił. Okazało się, że po akcji „szpital” władze powierzyły mu niebezpieczną służbę kurierską. Przeszedł ponad sto razy z Polski na Węgry. Przeprowadził wielu ludzi...”

Po wojnie Karski osiedlił się w Waszyngtonie i poświęcił się pracy naukowej i dydaktycznej. Jednym z jego studentów był przyszły prezydent USA Bill Clinton, który pisał o nim tak: „Jan Karski był posłańcem. W czasie II wojny światowej ry-

zykując życie przedostał się do warszawskiego getta i przemierzył okupowaną Europę, by przekazać wolnemu światu prawdę o Holocauście, prawdę o cierpieniach i okrucieństwach tak strasznych, że wielu nie chciało im dać wiary”. Ten sam Bill Clinton w latach 90. podjął decyzję o rozszerzeniu Paktu Północnoatlantyckiego, dzięki której Polska może czuć się bezpieczniejszą niż kiedykolwiek.

Traumatyczne wspomnienia własnych wojennych doświadczeń Karskiego i tego, co widział realizując swoją misję, pozostały z nim na zawsze i być może to one stały się przyczyną, dla której nigdy nie nawiązał kontaktu z ludźmi, którzy ocalili mu życie, stawiając na szali swoje własne.

- Został mi na ten temat taki jakiś cień. Profesor Jan Karski ten nigdy sam z siebie się do nas nie odezwał, nie nawiązał żadnego kontaktu. Władze Nowego Sącza zapraszały pana profesora, żeby się zjawił u nas i powiedział nam kilka dobrych słów. Nie udało się – wspominała Zofia Rysiówna w 1999 roku w audycji z cyklu „Zapiski ze współczesności”. - Ja sama zresztą napisałam do niego list z prośbą, żeby wtedy, kiedy odbiera swoje doktoraty i liczne zaszczyty, zaprosił kogoś z nas na taką uroczystość. Otrzymałam takie zaproszenie i spotkałam się z profesorem, ale nie mieliśmy ani przez chwilę autentycznej szczerości. Coś stało się między nami – mówiła Zofia⁴. Zbigniew Ryś spełnił swoje marzenie o rodzinie i o zawodzie prawnika. Z żoną Jadwigą doczekał się dwóch synów: Leszka i Jacka. Zmarł w 1990 roku. Doczekał wolnej Polski. Jego rówieśnik – Jan Karski zmarł w Waszyngtonie w 2000 roku.

- Ciąg dalszy następna strona

⁴ Audycja z cyklu „Zapiski ze współczesności”. Polskie Radio, 08.03.1999.



Nowy Sącz
Miasto Kultury

mok MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W NOWYM SĄCZU

Zapraszam!

Ludomir Handzel
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA

PIOTR BARON QUINTET WODECKI JAZZ

PIOTR BARON
saksofon

ROBERT MAJEWSKI
trąbka

PIOTR WYLEŻOŁ
fortepian

MACIEJ ADAMCZAK
kontrabas

ŁUKASZ ŻYTA
perkusja



10.03.2025_19:00

Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu
Al. Wolności 23 / Sala Widowiskowa

Bilety: 100 zł • 80 zł z Kartą Nowosądeckanina

Bilety do kupienia: www.mok.nowysacz.pl
oraz w kasie MOK / Al. Wolności 23 / tel.: 500 27 37 27
bilety@mok.nowysacz.pl

Ludomir Handzel
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA



ZOFIA RYSIÓWNA. ZDJĘCIE ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Zofia spełniła swoje marzenie o aktorstwie. 30 października 1945 debiutowała na deskach Teatru Słowackiego w Krakowie a później każdą kolejną rolę zapracowywała na miano pierwszej damy polskiego teatru. Z mężem – Adamem Hanuszkiewiczem doczekała się syna Piotra i córki - Kata-

rzyny. Zmarła w 2003 roku w Warszawie. W wolnej Polsce.

Wanda Ryś - Straszynska, Skrzyszewska, po śmierci męża, dyrygenta Olgierda Straszynskiego w 1978 r. wysłała po raz drugi za mąż za Stanisława Skrzyszewskiego, sądeczanina, byłego ministra oświaty i spraw zagranicznych. Była współzałożycielką Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej. Zmarła w 2009 r. w wolnej Polsce.

Władysław Żaroffe, gospodarz kamienicy przy ul. Lwowskiej 13 stanowiącej tymczasowy azyl poprzedzający ucieczkę ludzi poszukiwanych przez gestapo, szachistę, żołnierza Związku Walki Zbrojnej AK, w styczniu 1945 r.

został aresztowany przez NKWD i trafił do więzienia przy ul. Pijarskiej. Komendant więzienia – Rosjanin, pasjonat szachów, dowiedziawszy się, że jeden z więźniów jest dobrym graczem, zapraszał go na szachowe pojedynki i na tyle docenił lepszego od siebie rywala, że zwolnił go z więzienia, polecając mu, aby jak najszybciej zniknął z Nowego Sącza. Uratował go w ten sposób przed wywózką na Sybir. Po wojnie Władysław był m.in. instruktorem i trenerem szachowym w klubach sportowych Sandecja i Dunajec, wicemistrzem Polski w szachowej grze korespondencyjnej. I strażnikiem pamięci. Zmarł w 2019 r. w wolnej Polsce.

Kat Sądeckichy Heinrich Hamann został aresztowany w 1960 r. W procesie w Bochum prokuratura zgromadziła świadectwa obciążające Hamanna udziałem w kilkudziesięciu zabójstwach i postawiła mu zarzut zamordowania 17 tys. osób narodowości żydowskiej. Został skazany na dożywocie, ale w połowie lat 80. z uwagi na podeszły wiek i stan zdrowia opuścił więzienie i ostatnie siedem lat życia spędził w domu spokojnej starości. Zmarł w 1993 r. w Bad Neuenahr.

Iwona Kamieńska

Z ogromną dumą świętujemy dwa wyjątkowe jubileusze:
40 lat Firmy Grand i 20 lat Resortu GRAND CHOTOWA,
Dziękujemy naszym klientom, partnerom biznesowym i pracownikom,
którzy towarzyszą nam w tej podróży.

Andrzej Grygiel
Prezes Zarządu Grupa GRAND Sp. z o.o.



40 LAT



GRAND
GRUPA

40 lat Firmy GRAND to cztery dekady wypełnione pasją, innowacyjnością i nieustannym dążeniem do rozwoju. Przez te lata odpowiedzialność i uczciwość, pozwoliły na zbudowanie solidnej i rozpoznawalnej marki godnej zaufania.

www.grupagrand.com

20 LAT



GRAND[®] Chotowa
HOTEL**** SPA&RESORT

50 lat obiektu w Chotowej i 20 lat Naszego Resortu GRAND Chotowa to opowieść o gościnności, komfortowym wypoczynku i niezapomnianych chwilach spędzonych w wyjątkowym miejscu.

www.grandchotowa.pl



Rafał Matyja: SĄDECKA ŚCIEŻKA W GÓRĘ

Dziś jest inaczej. I to nie tylko w Nowym Sączu, ale w każdym podobnym mieście. (...) Miasta, które nie znajdą własnej ścieżki rozwojowej, pasującej do XXI wieku, ale nie kopiującej tego, co dzieje się w metropoliach, będą tracić mieszkańców, miejsca pracy, dochody.

Ćwierć wieku temu pakowałem cały swój dobytek, by przewieźć go z Warszawy do Nowego Sącza. Zamienić warszawską Wolę na nowosądeckie Wólki. Nigdy nie żałowałem tej decyzji. Mogłem ją podjąć z tych samych powodów, dla których wielu Sądeczan przenosiło się do Krakowa i Warszawy – dostałem dobrą ofertę pracy w kierowanej przez Krzysztofa Pawłowskiego WSB-NLU. Na tym się wszystko we współczesnej Polsce zasadza. Miasta dzielą się na te, które oferują atrakcyjne miejsca pracy i te, które takiej oferty nie mają.

Wtedy nie chodziło nawet o pieniądze – zarabiając tyle samo co w Warszawie, przenosiłem się do obszaru niższych cen i lepszych warunków życiowych. Nie chodziłem na tyle często do teatru czy filharmonii, by bez chwili wahania zamienić je na bliskość gór, łatwość wyjazdów na Słowację czy Węgry, zamienić miasto prawdziwych korków na takie, w którym oznaczało to kilka minut dłuższy dojazd do pracy czy szkoły.

Nowy Sącz był na fali. W Warszawie nikt nie pukał się w głowę. Przynajmniej nie otwarcie, może za plecami było inaczej. Wiele osób, którym mówiłem, że się przenoszę, mówiło z zazdrością o pięknym miejscu do życia. Sącz kojarzył się z górami i wakacjami. Zresztą także w kolejnych latach gdy odbierałem telefon z prośbą o przyjsie do warszawskiego studia telewizyjnego czy radiowego z komentarzem i odmawiałem, mówiąc, że nie dam rady, bo jestem w Nowym Sączu, słyszałem „A to życzymy miłego wypoczynku!”.

Przenieść się było łatwiej także dlatego, że sporą część spraw – nie tak wielką jak dziś – można było załatwić przez internet. Dla obserwatora polityki także dlatego, że ruszyć miała pierwsza stacja telewizji informacyjnej – TVN24. Transmitująca wtedy każdą konferencję prasową, pokazująca na żywo komisje śledcze, zbierająca więcej komentarzy niż wszystkie pozostałe media. To było 25 lat temu.

Dziś jest inaczej. I to nie tylko w Nowym Sączu, ale w każdym podobnym mieście. Miesz-



FOT. ARCHIWUM RAFAŁA MATYJ

kałem potem przez 10 lat w Bielsku-Białej. Ośrodku dwa razy większym, silniejszym gospodarczo, lepiej skomunikowanym z resztą kraju. Takim, z którego do Warszawy odjeżdża co rano Pendolino. A mimo to też odczuwającym zmianę trendu.

„Stąd wyjeżdżają niemal wszyscy absolwenci lepszych liceów”. Jadą na studia i nie wracają. Zostają w Katowicach, Krakowie, Warszawie. Robiłem rachunki kosztów życia, cen metra kwadratowego mieszkania czy najmu. Sprawdziałem, ile czasu poświęcam na dojazd do pracy, lekarza, sklepu. Porównywałem możliwość atrakcyjnego spędzania wolnego czasu. Z Bielska do katowickiego NOSPR można było dojechać w godzinę z hakiem. Można było pójść do teatru i na znakomite koncerty jazzowe. Nie mówiąc już o tym, że w granicach miasta były prawdziwe góry.

A jednak wszystko przesądzał rynek pracy. Ten metropolitalny był zróżnicowany i bardziej dostępny. Dobra oferta nie wymagała znajomości. Jechano do Krakowa, Warszawy czy Katowic z tymi samymi nadziejami, z jakimi do tych miast jechali wcześniej moi sądecki studenci. Jakie mają dziś ci, których uczę w Krakowie.

Za miastami, które w stolicy określa się mianem polskiej prowincji, stoi bardzo dużo argumentów. Z wyjątkiem rynku pracy. A co za tym idzie – za gorszą strukturą demograficzną, mniejszą ilością pieniędzy w samorządowych budżetach. W Nowym Sączu i Bielsku wiąże się te procesy także z utratą statusu wo-

jewódzkiego. To jest dotkliwie, gdy porównać rozwój tych miast z Rzeszowem, ale nie tak bardzo, gdy po drugiej stronie staną Kielce czy Olsztyn. W roku, w którym Wojtek Molen-dowicz zaczynał wydawać DTS, było jasne, że najważniejszym wyzwaniem, jakie stoi przed Sączem, jest znaleźć swoją drogę poza tą, na którą została zepchnięta „polska prowincja”. W początkach XXI wieku pojawiły się narzędzia, by na taką drogę wejść – środki europejskie. Sytuacja demograficzna była znacznie lepsza od obecnej. A jednak z trudem wierzone w nadzie-ście ciężkich czasów.

Dziś one już przyszły. I nie niosą ze sobą fatalistycznej zapowiedzi klęski, ale raczej wyzwanie, którego nie sposób zlekceważyć. Miasta, które nie znajdują własnej ścieżki rozwojowej, pasującej do XXI wieku, ale nie kopiującej tego, co dzieje się w metropoliach, będą tracić mieszkańców, miejsca pracy, dochody. Nowy Sącz ma w tej grze więcej atutów niż inne ośrodki o podobnej skali, ale atuty są ważne w rękach tych, którzy mają ochotę zasiąść do gry.

Rafał Matyja

Autor jest politologiem i historykiem, profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, ekspertem Instytutu Miast i Regionów. W latach 2000-2012 mieszkał i pracował w Nowym Sączu jako wykładowca WSB-NLU. Od pierwszego numeru DTS był autorem naszego pisma.



ABCEKODOM
CENTRUM OKIEN DACHOWYCH



WYMIENŲ OKNA DACHOWE
OSZCZĘDZAJ
NA RACHUNKACH



ABCEKODOM
CENTRUM OKIEN DACHOWYCH

Nowy Sącz, ul. Węgierska 153
tel. (18) 547 11 36
602 518 623

www.abcekode.com.pl
biuro@abcekode.com.pl

Wymieniając wysłużone okna dachowe na nowe
zyskujesz nie tylko cieplejszy dom i **niższe**
rachunki za ogrzewanie, ale także długoletnią
trwałość i wysoką estetykę.



FAKRO®

CENTRUM KULTURY I SZTUKI
IM. ADY SARI W STARYM SĄCZU

KULTURALNE EPICENTRUM SĄDECCZYNY



relacje z mecenasami kultury i sponsorami:
w.knapik@ckis.wstarymsaczu.pl, 799 299 050
m.jakubowska@ckis.wstarymsaczu.pl, 601 495 216



FESTIWAL
1679.019



www.ckis.wstarymsaczu.pl





**GRAND
G.O.A.T. 100 ml**
PASSION FRUIT
COSMOPOLITAN
VANILLA
STRAWBERRY

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ



**GRAND
COOKIE 130 ml**
o smaku śmietankowym
z czekoladą w ciastkach

NOWOŚĆ



**ROŻEK
GRAND
CONE 110 ml**
waniliowy z płynnym sosem
czekoladowo- orzechowym



NOWOŚĆ

NOWOŚĆ



GRAND 120 ml
POPCORN
VANILLA
CHOCOLATE
ALMOND
STRAWBERRY & YOGHURT



jedyne takie miejsce w sieci



**Sączopedia czyli e-encyklopedia
Nowego Sącza i Sądecczyzny.**

**Codziennie dokładamy
do niej nową porcję wiedzy
i kolejne hasła.**

**Zapraszamy do czytania,
poszukiwania haseł,
a przede wszystkim
do ich tworzenia!**

#wiedzęSącz



PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
W NOWYM SĄCZU

INSTYTUCJA
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

NOWY SĄCZ, UL. JAGIELLOŃSKA 61
Kontakt: 18 440 73 72 lub 18 440 72 49

www.pbwnowysacz.pl

BĄDŹ NA BIEŻĄCO



 **MAŁOPOLSKA**



Szukasz miejsca, gdzie nauka łączy się z rozwojem osobistym?
Odwiedź nas!

Oferujemy ogromny wybór książek, e-booków, multimedialnych.

Bezpłatne porady psychologiczne dla młodzieży.

Dlaczego warto?

Książki, e-booki, audiobooki na wyciągnięcie ręki.

Nowoczesne stanowiska komputerowe i dostęp do internetu.

Warsztaty, szkolenia i spotkania z psychologami.

Przyjazna atmosfera do nauki i relaksu

Godziny otwarcia:

Poniedziałek- piątek: 8.00 – 18.30

Sobota (pierwsza miesiąca): 9.00 – 14.00

Twoje centrum wiedzy, wsparcia i inspiracji!

Polonez z Prezydentem. Tańczyło kilkuset maturzystów

Już po raz 17. odbył się w Nowym Sączu Polonez z Prezydentem. Maturzystów przywitał prezydent Ludomir Handzel i jego zastępcą Bożena Borkowska. Polonez odbywa się na około 100 dni przed maturą.

- Tradycyjnie rozpoczynamy krótki już bieg do waszego egzaminu maturalnego. Jak co roku pragnę podkreślić i uzmysłowić wam, że to jest najważniejszy egzamin w życiu. Może nie najtrudniejszy, ale najważniejszy. Życzę wam samych setek z każdego przedmiotu, bo to pozwoli wam również wybrać później studia, a co za tym idzie zawód, w którym będziecie służyć nie tylko sobie ale całemu społeczeństwu - powiedział prezydent.



Kompleksowa modernizacja ulic Traugutta i Husarskiej

Zakończył się remont ulic Traugutta i Husarskiej. Modernizację ul. Traugutta przeprowadziła firma Zibud z Kamienicy. Prace rozpoczęły się na początku września i objęły cały odcinek ul. Traugutta, od skrzyżowania z ul. Nawojowską do skrzyżowania z ul. Freislera. Wyremontowano m.in. nawierzchnię asfaltową, pojawiła się także ścieżka pieszo-rowerowa i chodnik. Ponadto skrzyżowanie ulic Traugutta, Krokowskiego i Żulińskiego zostało przekształcone w rondo. Natomiast w przypadku ul. Husarskiej wykonano m.in. wymianę nawierzchni asfaltowej, przebudowę chodników, krawężników, zatok autobusowych, wymianę słupów oświetleniowych oraz montaż oświetlenia dla przejść dla pieszych razem z aktywnym oznakowaniem.



Na ul. Kunegundy powstał drugi w mieście park kieszonkowy

- To pomysł na to, żeby zmieniać Nowy Sącz blisko osiedli mieszkaniowych, gdzie łatwo można dotrzeć i spędzić miło czas. Będziemy powielali takie pomysły na terenie całego miasta - mówi prezydent Ludomir Handzel.

Park zlokalizowany jest na skwerze o powierzchni 572 m kw. Znajdują się w nim alejki spacerowe, ławeczki, stojaki na rowery i zegar słoneczny. Jego wskazówką jest pień dębu kolumnowego posadzonego pośrodku. Posadzone w mini parku rośliny stworzą strefę relaksu dla mieszkańców. Stworzenie parku kieszonkowego kosztowało 100 tysięcy złotych. W realizacji tej inwestycji miasto otrzymało wsparcie w kwocie 30 tys. zł od firmy InPost w ramach programu „InPost Green City”.



Podsumowanie roku 2024 Ochrona Zdrowia

Profilaktyka chorób i ochrona zdrowia dla mieszkańców Nowego Sącza. Badaniami objęto łącznie **2 336 osób** w tym:



- Szczepienia przeciw grypie
- Badania densytometryczne – profilaktyka osteoporozy
- Badanie „Echo Serca” i ciśnienie tętnicze
- Badanie znamion skórnych - wideodermatoskopia i konsultacje z dermatologiem
- Rehabilitacja ruchowa – konsultacja fizjoterapeuty i cykl indywidualnie dobranych zabiegów:
- Szczepienia przeciw HPV – dla dziewcząt i chłopców
- Profilaktyka boreliozy – testy Elisa oraz Western Blot
- Badania i konsultacje okulistyczne
- Badania mammograficzne lub USG piersi
- Badania tarczycy oraz USG tarczycy
- Profilaktyka cukrzycy – badania analityczne dot. schorzeń nerek dla osób z cukrzycą typu II oraz badanie witaminy D3, B12
- Badanie USG Doppler tętnic kończyn dolnych
- profilaktyka chorób naczyniowych
- Diagnostyka i terapia osób z autyzmem i dzieci z zaburzeniami rozwoju



Działania prozdrowotne w ramach pożytku publicznego dla seniorów, osób niepełnoprawnych ruchowo i umysłowo, osób niewidomych i słabowidzących, dzieci w Spektrum Autyzmu, osób w trudnych sytuacjach życiowych, chorych przebywających w Hospicjum stacjonarnym

230 osób



Warsztaty dla uczniów szkół średnich na temat depresji i środków psychoaktywnych:

765 uczniów otrzymało wiedzę i umiejętności profilaktyczne w ramach 30 warsztatów 90 minutowych.

DBAMY O ZDROWIE MIESZKAŃCÓW NOWEGO SĄCZA

Ludomir Handzel
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA

SĄDECKA KRONIKA FILMOWA



**nie uwierzycie,
jeśli
nie zobaczycie**

oglądajcie
na **dts** 24



10 LAT

SZPITALA
POŁOŻNICZO
GINEKOLOGICZNEGO
MEDIKOR

**Mieszkanki Nowego
Sącza nam ufają!**

To już 10 lat naszego
doświadczenia,
pełnego Waszych
historii, łez szczęścia,
emocji i wzruszeń.

 /@cmmedikor

 /medikor_nowysacz

 szpital.medikor.pl



Opowieści OBERŻYŚWIATA

Co tydzień na łamach dts24.pl serwujemy kone-serom inny trunek. Kone-serom sztuki opowiadania o destylatach, istnieje bowiem podejrzenie graniczące z pewnością, że wśród miłośników opowieści Przemysław Oberżyświata Osuchowskiego są również zadeklarowani abstynenci. Barwnym historiom trunków z całego świata delektuj się z dts24.

W czasach, gdy dziennikarskie teksty powstawały jeszcze na maszynach do pisania, pewien klasyk żurnalistyki nowosądeckiej nauczał mnie, iż w Nowym Sączu można robić tylko trzy rzeczy, a wszystkie owe aktywności zaczynają się na literę „p”... Gdy więc Szanowny Nadredaktor Molendowicz Wojciech zaproponował, abym w DTS24 rozwijał odwieczną pasję Oberżyświata, odmówić nie mogę. Jednocześnie dopisuję do starej sentencji czwartą kategorię czynności na literę „p”, którą kultywuje ów Molendowicz, czyli „pedałowanie”. Nie wiem wprawdzie czy cykliści z Sącza Nowego nadal oddają się przyjemnościom płynącym z trzech historycznych pasji na literę „p”, jednak jeżeli „picie”, a raczej wyrafinowane smakowanie i spożywanie trunków o właściwościach magicznych, nie wyszło z mody..., chętnie będę się dzielił wrażeniami organoleptycznymi mijanych

w życiu butelczyn. Bo płyną (nomen omen) z klawiatury mojej i z piwnicy oraz barku od kilkudziesięciu lat, ku uciesze autora, a także (mam nadzieję) Szanownych Czytelników!

KATEGORIA: RUMY

Naszą płynną przygodę zacznę od arystokraty wśród rumów, jakim jest australijski rum Bundaberg. Dlaczego tak egzotycznie? Ano dlatego, że to jeden z moich ulubionych trunków! Pierwszą butelczynę przywiozłem z pierwszej wyprawy na antypody przed wielu laty. I jak tylko mam okazję, do smakołyku tego wracam.

Australijczycy na rowerach nie jeżdżą tak chętnie jak Nadredaktor Molendowicz. Lecz słabość do alkoholu mają tak wyraźnie zakodowaną w genach, jakby wszyscy pochodzili z Sądecczyzny! Bundaberg jest tymczasem na antypodach najpopularniejszym czterdziestoprocentowym do-brodziejstwem. Jak do tego doszło? Historia tego smakołyku ma już 136 lat. Poważna sprawa...

Queensland – stan północno-wschodniej Australii – znany jest z Wielkiej Rafy Koralowej, Krokodyla Dundee, powodzi, węgla kamiennego i trzciny cukrowej. Skupmy się na tej ostatniej. Już w XIX wieku okolice miasteczka Bundaberg stały uprawami owej trzciny. Produkcja brązowego

cukru zapewniała plantatorom przyzwoite dochody, ale zarabiać każdy chce więcej. Górnicy, rybacy oraz łowcy krokodyli to ludzie twardzi. A każdy twardziel po robocie lubi się napić. Cukrownicy zwiertzyli szansę. Zaczęli z melasy (niezbyt smaczny produkt uboczny pozostający po ekstrakcji cukru) destylować nieskomplikowane wódeczności. Tanie to było i otumaniało jak się patrzy. Jednak w 1888 (te ósemki były chyba magiczne) najbogatsi plantatorzy założyli spółkę, gdyż słusznie doszli do wniosku, że życie jest za krótkie, żeby pić marny bimber.

Rok później Australia poznała rum wiodący swą nazwę od miejsciny Bundaberg. I może nic by z tego wielkiego nie było, gdyby nie pożary i wielka polityka. Pierwszy gwałtowny rozwój produkcji rumu firmy Bundaberg Ltd. datuje się na lata wojny burskiej. Armia korony popijała aż miło. Być może Winston Churchill, który po pijanemu dostał się do burskiej niewoli, zanietrzeźwił się właśnie australijskim rumem! Tymczasem w 1907 gorzelnia spłonęła. Ale gdy w 1914 zaczęła się światowa wojna, natychmiast zakład odbudowano, bo przecież armia potrzebuje nie tylko armat. Rum Bundaberg niewątpliwie przyczynił się do zwycięstwa Korony, a i po wojnie sprzedawał się świetnie (...)

- Ciąg dalszy następną stronę



FOT. ARCH. P. OSUCHOWSKIEGO

KATEGORIA: WÓDKI

Życie niesie niespodzianki... W ciągu ponad 20 lat opisałem historię oraz wrażenia degustacyjne ponad tysiąca trunków. Ale po raz pierwszy w życiu przychodzi mi opowiadać o butelce, której Szanownym Państwu pokazać nie mogę. Tak orzekli prawnicy. Prawdopodobnie prawnicy abstynenci... Skąd się tacy w Nowym Sączu wzięli, nie mam pojęcia! (...)

A zatem przed Państwem (czego zobaczyć nie możecie) butelka, w której zaklęta jest piękna historia i jeszcze lepszy smak! Oto wódeczność znana pod nazwą Vodka Monopolowa J. A. Baczewski.

Trunek legendarny w Galicji, w Cesarsko-Królewskim imperium Habsburgów, w całym świecie. Wódka (oj nie zobaczycie jej, broń Boże!) której wyrafinowanej jakości pilnuje od lat 242 rodzina Baczewskich. Bo zaczęła się ta wyjątkowa historia w roku 1782. W tamtych czasach „palenie wódki”, czyli produkcja spirytusów stanowiła poważną część produkcji rolnej. Praktycznie każdy majątek ziemski miał swoją gorzelnię. Były ich tysiące! Spirytusy robiono przede wszystkim ze zbóż, wśród nich palmę pierwszeństwa niosło dumnie żyto. W XIX wieku rozwinęła się też produkcja spirytusów

ziemniaczanych i melasowych (odpady przy produkcji cukru). W większości były to spirytusy, jakby to rzec... podłe. Jednak gdy zaborcy opodatkowali gorzelnie, większość małych upadła, a przeżywały tylko zaawansowane technologicznie. Do roku 1918 dotrwało około tysiąca gorzelni. Wśród nich produkcją wódek przyzwoitych zajmowało się ledwie kilkadziesiąt, cała reszta pędziła marny spirytus przemysłowy, nienadający się do rektyfikacji. Tymczasem firma rodziny Baczewskich była już wtedy znana nie tylko nad Wisłą. Do połowy XIX wieku o gorzelni Baczewskich wiadomo





niewiele. Mieściła się we wsi Zniesienie nieopodal Lwowa. Dzisiaj to już miejskie przedmieście. Prawdziwym twórcą rodzinnej potęgi wódczanej i likierowej był Józef Adam Baczewski, kierował firmą od 1856 roku. Postawił na najnowsze technologie oraz na... reklamę, co w tamtych czasach nie było wcale oczywiste. Firma nazywała się już: Galicyjska Krajowa Wytwórnia Rosolisów i Likierów. Józef Adam dbał nie tylko o jakość produkowanych we Lwowie wódek. Szukając ambitniejszego i zamożniejszego klienta wiele uwagi poświęcał... opakowaniom! Tych właśnie, których pokazać nie

mogę! Wódki i likiery mościły się więc w pięknych butelkach i karafkach. Reklamy J. A. Baczewskiego ukazywały się w prasie nie tylko całej Galicji, ale we wszystkich prowincjach Austro-Węgier i w wielu krajach Europy i innych kontynentów. Swoje produkty eksponował na międzynarodowych targach, a zdobywane tam medale podnosiły prestiż firmy. Nawiasem mówiąc medale takie zdobywa do dzisiaj, ale medali owych też Państwu pokazać na zdjęciu nie mogę. W roku 1876 Baczewski uzyskał tytuł Cesarsko-Królewskiego Dostawcy Dworu – od tego momentu (do dzisiaj!) na etykietach butelek (których akurat dzisiaj nie zobaczycie!) widnieje dwugłowy orzeł. W dwudziestolecu międzywojennym firma prowadzona przez wnuków Józefa Adama była prawdziwym hegemonem wódczanym. Produkty Baczewskiego zdobyły stoły elit i wszystkich, którzy do elit aspirowali, choćby raz w życiu, na przykład przy okazji ślubu. I wtedy przyszła drugowojenna klęska. Niemieckie bomby zakłady Baczewskiego zniszczyły, a Armia Czerwona wypięła zapasy. Nieszczęścia dopełniły się, gdy szefowie firmy Adam i Stefan zginęli w sowieckich obozach. Jednak spadkobiercy rodziny odtworzyli firmę w... Wiedniu

w roku 1956. A dzięki ocalonym recepturom przywróciła jej smakową i marketingową świetność. Na polski rynek J. A. Baczewski wrócił dopiero kilkanaście lat temu, ale za to z przytupem! W kategorii wódek czystych pozycję ma wysoką. Dlaczego?

Tajemnica sukcesu jest prosta. Po pierwsze, jakość! Wódka Baczewskiego to trzykrotny destylat ziemniaczany. Tak, tak! Żadne zboża. Po prostu luksusowy spirytus ziemniaczany. O jego historii i zaletach opowiem kiedy indziej, gdy przyjdzie kolej na wódkę Luksusową. W największym skrócie chodzi o to, że ziemniaczane destylaty osiągają zauważalnie większą moc i neutralność smakową. Do poziomu wódki 40-procentowej rozcieńczane są wodą. W przypadku Baczewskiego woda pochodzi z ujęć alpejskich. Produkt handlowy ma dzięki temu delikatność atłasu. Po drugie, opakowanie! Baczewski kontynuuje najlepsze tradycje rodzinnej firmy, butelka przypomina kształtem stare karafki. Również etykieta odwołuje się do długiej historii starych habsburskich wspomnień. A klient – okazuje się – jest wrażliwy nie tylko na procenty, ale właśnie na tradycję. Ktoś powie: snobizm... Niech będzie! Historia przecież piękna (...)

Przemysław
OBERŻYŚWIAT Osuchowski

Więcej opowieści
Oberżyświata
znajdziesz tutaj:



ROZMOWA Z MONIKĄ DROŻYŃSKĄ – ARTYSTKĄ SZTUK WIZUALNYCH, HAFCIARĄ, AKTYWISTKĄ, LAUREATKĄ PASZPORTÓW POLITYKI 2024 W KATEGORII SZTUK WIZUALNYCH

MOMENT rozmowy, którą rozpoczyna SZTUKA, jest najciekawszy

-Co Pani zdaniem jest celem sztuki? Prowokowanie, inspirowanie, wzbudzanie zachwyty czy jeszcze coś innego?

- Nie wiem, czy można przypisać sztuce jakieś cele, wydaje mi się, że nie. Ja jako artystka, gdy robię prace, to nie robię tego dla jakiegoś celu, tylko z potrzeby oraz nazywania świata. Potem je pokazuję na wystawach, w celu skonfrontowania mojej perspektywy z osobami oglądającymi wystawę i rozpoczęcia dyskusji. Ten moment rozmowy, którą rozpoczyna

sztuka, jest dla mnie najciekawszy.

- Pani prace powstają pod wpływem impulsu, natchnienia, czy jest to żmudna, intelektualna praca?

- Jest to praca, jest to proces oparty na lekturze książek, obserwowaniu świata, podsłuchiwanie tego, co ludzie sobie opowiadają nawzajem albo innym. Następnym krokiem jest praca na tym zebranym materiale, wybór słów, konstruowania tego w tkaninę. Zatem nie pracuję pod wpływem impulsu, tylko w procesie.

- Będę dziś cytować Pani wypowiedzi.

Jeden z cytatów: „Uprawiam literaturę na płótnie”. Mamy zatem do czynienia ze sztuką interdyscyplinarną?

- Tak, lubię określać swoją tożsamość jako poetki, osoby piszącej. Te dzieła, które tworzę, są opowiadaniami, esejami, wierszami, limerykami. Zapisuję je na tkaninie.

- Czuje się Pani bardziej poetką niż... właśnie się zastanawiam, jak nazwać tę gałąź sztuki?

- Zdecydowanie czuję się artystką sztuk wizualnych,

hafciarą. Poetka to któraś z moich tożsamości, bardzo ważna, bo jednak pracuję w języku i z językiem. Ale to któraś z moich tożsamości, dlatego że sfera wizualna jest bardzo ważna w moich pracach i estetyka jest częścią języka, którym tworzę.

- Kolejny cytat: „Mój haft mieści się gdzieś między odręczną, osobistą notatką, intymnym zapisem, a pismem oficjalnym, drukowanym, językiem, który sprawuje władzę”... Jest bardziej intymny czy oficjalny?

- Właśnie ani jedno



MONIKA DROŻYŃSKA, FOT. ARCHIWUM

ani drugie. Mój haft jest pomiędzy. Intymny zapis rozumiem jako odręczny – długopisem na kartce, ołówkiem w zeszyście, coś co jest notatką, listem zostawionym np. po śniadaniu do dzieci, które wrócą ze szkoły. A pismo oficjalne to podręczniki, książki, wszystko to, co jest tworzywem wiedzy i władzy. To, co piszę haftem, jest pomiędzy, nazywam to piśmem przejściowym, ale wchodzącym w ten obszar władzy i wiedzy. Mieszam to co prywatne, intymne, z tym co publiczne, polityczne, społeczne i zaangażowane.

- Jeszcze jeden cytat: „Uważam się za kontynuatorkę linii kobiecych głosów, które od stuleci emancypują się poprzez haft i szycie”. Czy haft i szycie są wyrazem emancypacji, czy jednak może są bardziej kojarzone z wpisywaniem kobiet w ich odwieczną rolę tych, które zajmują się domem?

- Moja twórczość to zdecydowanie emancypacja i umieszczam siebie jako spadkobierczynię Filomelii z „Przemian” Owidiusza czy Arachne oraz sufrażystek. Jestem w tej linii kon-

tynuatorką emancypacji. Jak ktoś chce to interpretować inaczej, to proszę, ale to nie jest moja opowieść.

- Bo, znowu cytuję, „Niewinna kobieca ręka nie jest już tak niewinna”?

- W ten sposób argumentowałam sprawę związaną z haftowaniem na zagłówkach w pociągach, ponieważ te artystyczne działania pociągowe wzbudzały bardzo dużo skrajnych emocji. Ale takich naprawdę bardzo skrajnych, bo grożono mi nożem, wyzywano od idiotek, pojawiały się groźby karalne, wul-

garne wypowiedzi. Zastanawiałam się nad tym, co ludzi tak irytuje w tych moich działaniach, bo kulturowo postrzegałam to jako coś niewinnego. Okazało się, że gest haftowania przekracza umowę społeczną i może się to stać zagrożeniem, a wtedy wzbudza agresję. Bo ta niewinność kobiecej ręki przestała być niewinna, bo robimy to, co chcemy, żyjemy tak jak chcemy, decydujemy o swoich ciałach, jesteśmy samodzielne, niezależne.

- Ciąg dalszy
następna strona



WYHAFTUJ SIĘ M. DROŻYŃSKA. FOT. MATEUSZ TORBUS

- A nie odnosi się to generalnie do Pani sztuki?

- Wydaje mi się, że nie, choć oczywiście ostateczną ocenę zostawiam odbiorcom moich prac. Moja praca jest albo dokumentem albo badaniem naukowym albo esejem społeczno-historycznym. To, co różni ją od innych twórców, to to, że ja ją wykonuję haftem ręcznym na tkaninie. Nie sądzę zatem, żeby moje prace pokazywały, że kobieca ręka przestaje być niewinna. Prawdopodobnie to, co ludzi w nich zachwyca, to właśnie to, że igła i nitka stała się narzędziem nauki i polityki.

- Ale bywa, że na tych pracach pojawiają się wulgaryzmy. To nie kocha

rzy się z „niewinną kobiecą ręką”.

- Nie sądzę, żeby wulgaryzm zaprzeczał kobiecej niewinności. W swoich pracach używam wulgaryzmów w celach głównie dokumentalnych. Wulgaryzmy, które pojawiają się w pracach, to są cytaty, jak choćby słowa siatkarza zagrzewające do walki w czasie ostatniej olimpiady, bądź są to napisy na murach itp. Ważne są też okoliczności, olimpiada to istotne wydarzenie, które jako dokumentalistka chciałam uwiecznić i zastanawiałam się, jak to zrobić, żeby wiele osób potrafiło wydarzenie zidentyfikować a zarazem, żeby to nie było zbyt proste, żeby była w tym pewna przewrotność. Z kolei gdy w pracach przepisywałam napisy

z murów, to nadałam tym treściom inne formy, czyli to co na murze wydaje się być przezroczyste przez formę, którą jest wandalizm albo nierobiące na nas wrażenia, w moich pracach odczytuje się już zupełnie inaczej.

- Wspomniała Pani wcześniej o akcji pociągowej. Przypomnijmy, że za potajemne haftowanie na pokrowcach zagłówek w pociągach sentencji w stylu „Kto czuje gniew, a nie działa, czuje zarazę”, „Polska pochodzi z pola” została Pani udzielona przez sąd nagana i kara grzywny. Od wyroku miała się Pani odwoływać. Jest ciąg dalszy tej sprawy?

- Tak, odwołałam się

od tego wyroku. Nie dlatego, że się z nim nie zgadzałam, bo uważam, że wyrok był łagodny a sąd wyszedł naprzeciw oczekiwaniom firmy PKP. Odwołałam się dlatego, że chciałam się spotkać w sądzie i dać się osądzić. Sprawa się jeszcze nie skończyła, rozpatrzenie odwołania będzie 14 lutego (rozmowa z 7 lutego – przyp. red.). Wtedy ma zapadć ostateczny wyrok.

- Jak dzieciństwo spędzane na Sądeczynie wpłynęło na Pani artystyczną drogę?

- Urodziłam się w Nowym Sączu, wychowałam się na osiedlu Millenium, tam mieszkała moja ukochana babcia, a nazwę sklepu Europa II nawet użyłam w mo-



CYTAT Z WIERWSZA JULIANA TUWIMA RWANIE BZU



EXIT GŁOD M. DROŻYŃSKA. FOT. MATEUSZ TORBUS

ich pracach. Jestem bardzo emocjonalnie związana z tym regionem. Kocham Gorlice, kocham Nowy Sącz. Raz na jakiś czas robię samotną podróż do moich korzeni, jadę do Sącza, potem do Gorlic. Jak mówię o tym regionie, to aż się rozczulam. Te czasy, te tereny płyną w moich żyłach. Czasem media nazywają mnie „artystką krakowską”, ale ja w ogóle nie czuję się „krakowska”. Mieszkam w Krakowie, ale nie zawdzięczaam Krako-

wowi za wiele, dlatego zawsze prostuję, że jestem artystką gorlicką. Wychowywałam się w Gorlicach na osiedlu koło szpitala, pod blokiem, byłyśmy puszczone z siostrą samopas, włóczyłyśmy się po lesie, po polach. To są miejsca, które mnie ukształtowały, które sprawiły, że jestem tym, kim jestem.

- To tu zrodził się Pani pomysł, co robić w życiu?

- Na to złożyło się wiele czynników. Zawód w pewnym sensie wy-

myślili mi rodzice. Gdy zbliżało się ku maturze, mama zasugerowała, że może bym poszła na politechnikę. Zapisła mnie na lekcje z rysunku. A pomyślała o tym, bo lubiłam pracę manualną, rysowałam, malowałam, robiłam na drutach. Zresztą moja babcia też robiła na drutach, szydełkowała, więc się napatrzyłam na to u babci, tym się w wolnych chwilach zajmowałam, lubiłam to robić. Chodziłam więc na rysunki, przygotowując się do studiowania architektury na politechnice. Potem mama zasugerowała, że może bym poszła na architekturę wnętrz, bo to jest delikatniejsze, przyjemniejsze, urządza się mieszkania czy inne wnętrza. A później powiedziała, że na ASP są też inne kierunki, przytaknęłam i tak trafiłam na grafikę.

- Nie żałuje Pani tego?

- Nie, w życiu! Kocham swój zawód!

- Paszport Polityki to dla Pani zwieńczenie artystycznej drogi czy jedno z wielu wyróżnień, które ma Pani na koncie?

- Zdecydowanie zwieńczenie artystycznej drogi. To bardzo ważna nagroda. Procedura jest taka, że najpierw zgłasza się osoby do tego wyróżnienia, potem nominuje, a później jest przyznawana ta ostateczna nagroda. Byłam wcześniej dwa czy trzy razy zgłoszona, tym razem zostałam nominowana wspólnie z dwójką wybitnych artystów: Alą Savashevich i Danielem Kotowskim, a w finale otrzymałam laury.

- „Za sztukę, którą bawi, ale i mobilizuje. Za działania, które zbliżają ludzi do sztuki, a sztukę do ludzi. Za umiejętne łączenie sztuki z aktywizmem oraz codziennego życia z odświeżnością. Za brawurowe wprowadzenie haftu na salony sztuki”. Ta nagroda w jakim sposób zmienia Pani życie?

- Na pewno każe mi się zastanowić nad tym co dalej, w jakim kierunku podążać, jakie nowe formy, jakie nowe języki, treści tworzyć? To dla mnie ważny moment refleksji nad rozpoczęciem jakiegoś nowego procesu twórczego.

ROZMAWIAŁA
Jolanta Bugajska

Porozmawiajmy o MIŁOŚCI!

Razem z psychoterapeutką Susanną Abse oraz specjalistami ze Specjalistycznej Rodzinnej Poradni Bemowo – psycholożką i seksuolożką Weroniką Rybak i psychoterapeutą Jarosławem Serdakowskim – omówimy:

- dlaczego nie mamy odwagi być szczęśliwi w związku?
- skąd się biorą wszystkie porażki, lęki i sabotowanie relacji?
- jak, będąc z kimś, wciąż pozostać sobą?

Nurtujących pytań jest wiele, jednak nie zawsze mamy odwagę je zadać. W swojej książce *Opowiedzcie mi o miłości. Jak się zakochujemy i dlaczego się rozstajemy* Susanna Abse odpowiada na wiele z nich.

Autorka jest cenioną terapeutką z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem w terapii par. W tej poruszającej książce pokazuje, że choć jesteśmy stworzeni do tego, aby kochać, to jednak robimy wszystko, żeby chronić się przed bliskością. A kiedy jesteśmy w związku, robimy to, co inni zrobili nam – wnosimy do nowej relacji swoje dawne traumy.

Podjęcie decyzji o udanie się na terapię par może wydawać się trudne. Susanna Abse pokazuje jednak, że terapia to przede wszystkim ludzie i rozmowa. Otwiera drzwi swojego gabinetu i pozwala za nie zajrzeć. Dzieli się doświadczeniem z pracy z parami i opo-

wiada ich historie – być może w którymś z nich dostrzeżesz podobieństwo do siebie.

O terapii par rozmawiamy z autorką książki i terapeutką par Susanną Abse oraz Weroniką Rybak i Jarosławem Serdakowskim, ekspertami ze Specjalistycznej Rodziny



Rodzinnej Dzielnicy Bemowo CWR RW miasta stołecznego Warszawa.

- Jak możemy przełamać stereotypy na temat terapii i terapii par i jak rozmawiać o terapii ze swoim partnerem?

SUSANNA ABSE: Mam wrażenie, że podejście do uczęszczania na terapię indywidualną lub dla par znacznie się zmieniło, odkąd zaczęłam praktykować. Chodzenie na terapię przestało być tematem tabu. Powszechna narra-

cja na temat zdrowia psychicznego i dobrego samopoczucia stała się przychylniejsza, osoby publiczne i celebryci otwarcie mówiący o tych sprawach również pomogli znormalizować rozwiązywanie problemów z pomocą psychologa lub psychoterapeuty.

- Czy długość związku wpływa na dynamikę i potrzebę poszukiwania terapii?

S.A.: Hmm - dobre pytanie. Być może nie chodzi o sam czas trwania związku, ale o rzeczy, które dzieją się w życiu - dzieci, śmierć, praca itp.

- Jakie zauważają Państwo różnice pokoleniowe w podejściu do terapii par?

WERONIKA RYBAK i JAROSŁAW SERDAKOWSKI: Odnosimy wrażenie, bazując na naszej praktyce klinicznej, że zdecydowanie częściej na terapię zgłaszają się osoby młode i w średnim wieku, a rzadziej te powyżej 60. roku życia. Może to wynikać z większej elastyczności do sięgania po wsparcie psychologiczne u młodszych pokoleń. W Polsce bowiem dość długo panowało przekonanie, że z psychoterapii korzystają osoby zaburzone, że to oznacza jakiś rodzaj „żółtych papierów”, że „sobie nie radzimy” (z domysłem, że przecież radzić trzeba sobie samemu). Szczęśliwie od jakiegoś czasu promocja zdrowia psychicznego otworzyła umysły wielu osób i skutecznie działa przeciw negatywnym stereotypom. To daje ludziom większą odwagę sięgania po pomoc, kiedy jej

potrzebują, zanim dojdzie do rozpadu relacji.

- Jakie są najczęstsze powody, dla których pary szukają terapii?

S.A.: Prawdopodobnie powtarzające się kłótnie.

W.R. i J.S.: Dość często obserwowana przez nas dynamika u par zgłaszających się na terapię związana jest z pragnieniem, by małżeństwo/ związek ciągle trwał, przy jednoczesnym braku tolerancji na różnice i inność partnera, w znaczeniu, że nie jest takim, jakim go sobie wymyśliliśmy. Czasem mamy wrażenie, jakby pary mówiły do siebie: „Kocham cię bardzo, chcę być razem, tylko bądź kompletnie inna/inny niż jesteś. Bądź taką/ takim, jak sobie ciebie wymyśliłam/em”.

- Jak często spotyka się Pani z parami i jaki jest optymalny czas trwania terapii?

S.A.: Zazwyczaj prowadzę cotygodniowe spotkania. Co do długości trwania terapii – oczywiście każda para jest inna i znajduje się w innej sytuacji, ale w większości przypadków ludzie, którzy do mnie przychodzą, naprawdę się angażują i są gotowi na dokonywanie zmian. Wtedy terapia trwa rok, dwa lata.

- W jakich przypadkach zalecają Państwo połączenie terapii par z terapią indywidualną?

S.A.: Takie połączenie często okazuje się bardzo pomocne. Podczas terapii par na światło dzienne wychodzi wiele spraw związanych z przeszłością jednej z osób – wtedy dobrze jest zagłębić się w nie podczas indywidualnych rozmów. Podczas wspólnych sesji może być trudno znaleźć na to odpowiednie miejsce. Jednak nigdy nie prowadzę jednocześnie terapii indywidualnej i terapii par – to zazwyczaj prowadzi do różnego rodzaju problemów!

W.R. i J.S.: Głównie dzieje się to w sytuacji, kiedy w trakcie procesu wspólnej terapii okazuje się, że jedna osoba z pary boryka się z problemami psychicznymi wykraczającymi poza tematykę związku. Może to być utajona depresja, ujawniające się zaburzenia osobowości, którymi nikt wcześniej nie zaopiekował się terapeutycznie, problemy ze spektrum psychozy, autyzmu itp. Wtedy zalecamy połączenie terapii danej pary z innymi działaniami indywidualnymi.

- Jak radzicie Państwo sobie w sytuacji, gdy jeden z partnerów wykazuje większy opór przed terapią?

W.R. i J.S.: Naszym pacjentem jest para, więc jeśli jeden z partnerów wykazuje większy opór, rozumiemy, że bierze na siebie tę część przeżyć. Druga osoba niesie wtedy w pełni motywację do terapii. Naszym zadaniem jest, by uświadomić obojgu, że i jedno, i drugie ma zarówno pragnienia i potrzebę otrzymania pomocy jak i różne obawy, niechęć przed zmianą, lęk o to, co takie otwieranie się i szczere rozmowy mogą ujawnić i przynieść. Zazwyczaj to pomaga, żeby obie osoby poczuły się na tyle bezpiecznie, by swobodniej zacząć pracować nad związkiem.

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Znak Literanova 12 lutego 2025 r.

Weronika Rybak i Jarosław Serdakowski są członkami Komitetu Organizacyjnego cyklicznej konferencji „Pracując Psychoanalitycznie z Parami”, która w tym roku ma swoją VIII edycję pt. „Miłość zniekształca czy przekształca?”. Susanna Abse będzie jedną z głównych prelegentek podczas tego wydarzenia, mającego miejsce w dniach 25-26 kwietnia 2025.

WIELKI FINAŁ TRYLOGII PEŁNEJ EMOCJI



Ludzie powinni robić to, czego pragną, podążać za swoimi marzeniami, latać wysoko – mówi Małgorzata Berndt (panieńskie nazwisko Stukus), kapitan, pilot statków powietrznych, urodzona w Bobowej, mama dwóch małych córeczek Emili i Laury.

Lądowałam na LAMPEDUSIE pomiędzy burzami

- Macierzyństwo czy lotnictwo, co jest większym wyzwaniem?

- Zarówno macierzyństwo, jak i lotnictwo są sporym wyzwaniem. Sterowanie wielkimi maszynami to jednak precyzyjny schemat, zadanie, które ma swoje ściśle określone procedury, reguły i zasady. Trzeba przyjść do pracy, zrobić swoje jak najlepiej, przygotować się do lotu, sprawdzić samolot i dokumenty, wystartować, przeżyć rejs, wylądować, wykonać czynności po lądowaniu i wrócić do domu. Macierzyństwo, zwłaszcza kiedy się chce być rodzicem świadomym i uczestniczącym w życiu dzieci, jest trudniejsze. Nie można sobie po ośmiu godzinach po prostu wyjść i zamknąć drzwi. To zajęcie całodobowe, zwłaszcza kiedy

córeczki jeszcze nie umieją mówić i przekazać wszystkich swoich potrzeb. To ciągła obserwacja, bycie i towarzyszenie. Od macierzyństwa nie można wziąć urlopu.

- Instrukcja obsługi człowieka jest trudniejsza niż maszyny?

- Instrukcja obsługi samolotu jest klarowna, mamy check-listy, które jasno precyzują, co mamy robić. Czy to łatwe? Myślę, że całkiem inaczej odpowiadałabym na te same pytania na samym początku mojej pracy, kiedy zaczynałam latać. Wówczas o każdym locie myślałam niemalże jak o wyprawie na księżyc. Teraz jest inaczej, mam duże doświadczenie, za sobą wiele sytuacji, w których trzeba było zachować zimną krew. Odbijałam wiele godzin latania na symulato-

rach, które przygotowują nas na rozmaite, niezaplanowane zdarzenia. Wszystko to sprawia, że jest łatwiej. Przed przyjściem małego człowieka na świat nie dostałam żadnej check-listy, nawet solidne przygotowania nie dają odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Ile godzin ma Pani „wylatanych”?

- Prowadzimy tak zwany logbook, książkę lotów, w którą wpisujemy wszystkie starty i lądowania, każdy rejs, a doświadczenie przedstawiamy w wylatanych godzinach. Mam dwa i pół tysiąca wylatanych godzin. Czasami to dużo, a czasami mało, zależy na jakich trasach i jakich lotniskach się budowało swoje doświadczenie. W moim przypadku to godziny, które dały mi

bardzo dobre i solidne przygotowanie.

- Da się porównać pierwszy lot za sterami samolotu do zostania po raz pierwszy mamą?

- Nie do końca. W przypadku samolotu wcześniej trzeba nabyć całą wiedzę i ją po prostu zastosować. Wszystko jest klarowne i jasne, jeśli coś się zdarzy, podążasz za jasnymi komendami. Oczywiście, mogą pojawić się sytuacje, kiedy trzeba odejść od schematu spokojnego lotu, ale to taki zawód i mamy tego świadomość. Dodatkowo na wszystko są procedury. Macierzyństwo tak nie działa, nie ma złotych zasad, reguł, trzeba sobie samemu wypracować, jak się swoim dzieckiem najlepiej zajmować, zdecydować, jak chce się je wychować. Na to



nie ma żadnej książki ani komendy.

- Poczucie odpowiedzialności też jest inne?

- W zawodzie pilota jest bardzo duże poczucie odpowiedzialności. Z biegiem lat, wraz z doświadczeniem, którego nabieramy, jest jednak większa pewność siebie w tym, co się robi. I nie mówię tutaj o tego rodzaju pewności, która staje się pychą czy ignorowaniem pewnych rzeczy oraz sytuacji, ale odwagą w tym, co się robi. Brakiem wątpliwości i większym zaufaniem do siebie. Jest niczym potwierdzenie, że jesteśmy właściwą osobą na właściwym miejscu. Oczywiście nadal czuję odpowiedzialność, ale ona nie paraliżuje, ani nie obciąża. Nie towarzyszy jej strach. W naszym zawodzie jesteśmy cały czas przygotowani do usterek czy awarii, wiemy co zrobić, gdyby przydarzyło się coś poza schematem. I tak też wygląda ścieżka kariery; by dostać kapitański awans, trzeba sobie odpowiedzieć, czy jest się gotowym na takie wyzwanie. W byciu mamą odpowiedzialność wynika z miłości bezwzględnej. I choć lotnictwo też jest moją miłością, to jednak zupełnie inną. Nie można tego porównać.

*- Ciąg dalszy
następna strona*

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MAŁGORZATY BERNDT

- Samoloty były tą pierwszą miłością, jeszcze w Bobowej?

- Nie. Bo choć jak wszystkie inne dzieci ja też krzyczałam do przelatującego samolotu: „Panie pilocie dziura w samolocie”, nie przypominam sobie jednak, abym marzyła, żeby zostać pilotem. To pojawiło się dużo później, kiedy wybierałam studia i pomyślałam, że to ciekawy zawód i może bym się do niego nadawała. Lubię precyzyjne zadania, jestem dokładna, potrafię się skupić, pomyślałam, że to idzie w parze.

- Skupienie i precyzja to te cechy, które sprawiają, że jest się dobrym pilotem?

- Tak, na pewno trzeba być także konsekwentnym w działaniu. Pamiętam, że jako dziecko może i nie uczyłam się najlepiej z klasy, ale kiedy już zaczynałam coś robić, musiałam to dokończyć i miało to być zrobione jak najlepiej. Nieważne czy to był wierszyk, czy coś innego. Jeśli widziałam, że ktoś we mnie zawierzył lub coś mi powierzył, nie wyobrażałam sobie, by go zawieść. To później przełożyło się na moją naukę i dążenie do tego, by zostać pilotem.

- Jak Pani znalazła taki egzotyczny zawód?

- Szukając studiów dla siebie, odkryłam, że na Politechnice

Rzeszowskiej jest wydział budowy maszyn i lotnictwa. Brzmiało to interesująco, kojarzyło mi się ze wspomnianą precyzją. Pomyślałam, że to dobry kierunek. Na studia się dostałam, ale na specjalizację pilotaż, gdzie każdego roku było 9, najwyżej 11 miejsc, już nie. Byłam uparta i konsekwentna, zrobiłam wszystkie licencje na własny koszt. Wciągnęło mnie to, postanowiłam, że latanie będzie moim zawodem. Nie wyobrażałam sobie chodzić do pracy za karę, nie chciałam mieć takiego smutnego życia. Moja praca miała być przyjemnością, da-

jącą radość, za którą jeszcze ktoś mi płaci. Może nawet fakt, że się nie dostałam na specjalizację pilotaż, dodatkowo mnie zmotywował. Kiedy człowiek jest młody, wydaje mu się, że góry może przenosić, że ma nieograniczony wpływ na świat. I ja też tak myślałam, byłam idealistką. Z czasem przychodziły rozczarowania, świadomość, że niezależnie od tego czego pragniesz i czy jesteś w tym dobra, są czynniki, na które nie masz wpływu. Ale wtedy byłam zdeterminowana, nie poddałam się. I to też kwestia mojego charakteru. Zawsze dokończałam to, co zaczęłam.

- Wyobrażenie o tym wymarzonym zawodzie się potwierdziło?

- Od samego początku wiedziałam, że latanie to jest to. Że to idealny zawód, który chciałybym wykonywać. Co ciekawe, choć kariera była dopiero przede mną, a ja zaczynałam latać na małej Cessnie 152, która mieściła zaledwie dwie osoby, miała jeden silnik, kilka przycisków i wydawała mi się na początku maszyną trudną do ogarnięcia, już wtedy wiedziałam, dokąd chcę dojść. Pamiętam, jak powiedziałam, że swoją karierę zakończę na „trzech kosach” czyli na Boeingu 777, szerokokadłubowym samolocie o ultradalekim zasięgu. Dziś,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MAŁGORZATY BERNDT



kiedy mam rodzinę, trochę inaczej do tego podchodzę, ponieważ w Polsce one nie latają, tak więc zobaczymy, gdzie wylądujemy. Wówczas jednak cały świat stał przede mną otworem, a ja miałam duże ambicje. Ludzie powinni robić to, czego pragną, podążać za swoimi marzeniami. Mierzyć wysoko, bo nawet wtedy, kiedy się dojdzie do połowy, to i tak jest dużo.

- Kiedy zaczęła Pani latać na Cessnie, co najbardziej porywało?

- PPL, czyli licencję na małe samoloty, robiłam w Częstochowie na Rudnikach. To była szkoła podniebnego życia. Pamiętam, że

podczas startu i lądowania poziom stresu zawsze trochę wzrastał, by później spaść. I wtedy mogłam już na spokojnie podziwiać to, co wokół i pod stopami. Pamiętam mój zachwyt nad krajobrazami, polami i łąkami. Ale najbardziej fascynujące były dla mnie rzeki, tak finezyjnie pozawijane. Z góry widać inaczej, szerzej. To właśnie w Częstochowie odbyłam swój pierwszy, samodzielny lot. Kiedy mój instruktor powiedział, że jestem gotowa na wylot samodzielny, popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. „Jak to sama?”, dopytywałam. Ale miał rację, byłam przygotowana, miałam „nalatane” tyle

godzin, ile trzeba, to był dobry czas, by biorąc ster w ręce wziąć też odpowiedzialność. Pamiętam, jak wszystko robiłam na początku bardzo ostrożnie. Moim zadaniem było wykonać zakręty o 360 stopni każdy, w prawo, potem w lewo. Pierwszy wykonałam asekuracyjnie, troszkę tylko pochyliłam samolot. Jestem rozważna, musiałam sprawdzić, jak mi będzie szło. Dopiero potem pogłębiłam zakręty. Pamiętam to uczucie do dziś.

- Kobiętom jest trudniej w tym zawodzie?

- Płeć nigdy nie była przeszkodą, nikt nie patrzył na mnie, na moje umiejętności przez ten pryzmat.

Nigdy nie odczułam, że mam gorzej, czy trudniej. Dostawałam dużo zrozumienia od instruktorów, podobnie jak moi koledzy. Może miałam szczęście i trafiałam na dobrych instruktorów, którzy chcieli przekazać swoją wiedzę i uczyć młodych, którzy przychodzą do szkoły latania. Myślę, że inteligentna osoba na stanowisku instruktora nie będzie wyróżniała swojego ucznia ze względu na płeć. Obalę też od razu wszystkie krzywdzące tezy, że kobietom płaci się mniej niż mężczyznom za wykonywanie zawodu pilota. To absolutnie nieprawda, z niczym podobnym się nie spotkałam, stawki i kontrakty są takie same. Wracając do moich instruktorów – pamiętam, jak uczyli nas na swoich błędach, tak, byśmy ich nie powtarzali, byśmy ich mogli uniknąć. Słyszałam: „Małgosiu, jak będziesz robić to i to uważaj na to i na to, może ci się zdarzyć tak i tak i wtedy może się to źle zakończyć”. Dostałam wiele cennych wskazówek, które mi utkwiły w pamięci. To wtedy nabrałam pierwszych szlifów, uczyłam się fundamentu zawodu, podejścia zarówno do maszyny, jak i do współpracowników. Moi instruktorzy prowadzili mnie od samego początku najlepiej jak potrafili.

- Ciąg dalszy
następna strona

- Jaki jest najgorszy sen pilota?

- Zna pani awaryjne lądowanie samolotu na rzece Hudson w Nowym Jorku? To jest właśnie najgorszy sen: czyli stracić wszystkie silniki i być daleko od lotniska. To lądowanie było idealne. Oczywiście ktoś może powiedzieć, że warunki były sprzyjające, ale był to wielki wyczyn. Kiedy słuchałam opanowanej rozmowy kapitana zepsutej maszyny z wieżą, byłam pod wrażeniem. Nie spanikował, konsekwentnie szedł za swoją decyzją, by posadzić bezpiecznie samolot i uratować ludzi.

- Na ile w trakcie przygotowań czy też nauki analizujecie takie przypadki.

Da się do takiej historii przygotować?

- Co pół roku mamy egzaminy na symulatorach lotniczych. Wtedy nie wykonujemy pięknego, idealnego lotu, nie startujemy z Warszawy i nie lądujemy we Frankfurcie, a wszystko idzie jak po maśle, nic się nie dzieje. Na symulatorach ćwiczymy non stop awarie, rzeczy poza normalnymi, codziennymi schematami: awarię hydrauliki, połączoną z pożarami, złą pogodą i na przykład utratą przytomności przez pierwszego oficera. Dzięki temu jesteśmy przygotowywani do rzeczy, które statystycznie nie są w sta-

nie zdarzyć się w rzeczywistości. Musimy zachować w każdej sytuacji zimną krew, opanować strach, żeby nie spanikować i sobie jak najlepiej poradzić.

- Powiedziała Pani zimną krew. Czy to jest właśnie ta cecha, którą powinien zachować każdy pilot w sytuacji kryzysowej?

Do wykonywania tego zawodu potrzebna jest zimna krew, opanowanie, pewien automatyzm. Na co dzień jestem osobą ciepłą i czułą, ale w kryzysowej sytuacji wiem, że muszę być twarda. Panika wpędza nas w tunelowe widzenie, które może prowadzić do błędów. Nie wiem, czy da się to wyćwiczyć, czy to kwestia tego, co już ma się w sobie. Trzeba mieć refleks i mocne nerwy, by dobrze zareagować czasami w ciągu trzech, pięciu sekund, kiedy nie ma czasu i trzeba działać niemal mechanicznie. Im większą mamy wiedzę, tym bardziej jesteśmy pewni siebie. Myślę, że to także kwestia charakteru, który ułatwia działanie w sytuacjach kryzysowych.

- Ogląda Pani serial „Katastrofy w przestworzach”?

- Tak, bardzo dużo się można z niego nauczyć. Pokazuje błędy popełnione przez ludzi, z których większość skończyła



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MAŁGORZATY BERNDT

się tragicznie. Czasami trudno mi oglądać spokojnie, bo już na początku widzę, co zrobiono źle i czego nie dopilnowano. Denerwuję się, bo jak można było tego nie zauważyć, np. że jest za mała prędkość. Nie oceniam, każda sytuacja jest inna. Nasze podręczniki mówią, że musi się

nałożyć aż siedem awarii na siebie, żeby doszło do katastrofy. Jedna usterka nigdy nie doprowadzi do wypadku.

- Bała się Pani kiedykolwiek?

- Zależy jak zdefiniować strach, ale raczej nie. Lądowałam kiedyś na Lampedusie podczas burz.

To nie była jedna burza, ośrodków burzowych było kilkanaście, wszędzie dookoła strzelały pioruny. Nigdy w życiu, ani wcześniej ani później, nie widziałam niczego podobnego. Błyski, wyładowania były tak mocne, że choć była noc wokół było jasno. Mogę powiedzieć, że był to moment, kiedy nie czułam się komfortowo. Lecieliśmy pomiędzy burzami, które szły jedna za drugą, między chmurami, które robiły się jasne, jakby ktoś zapalił światło. To było coś niesamowitego. I co ciekawe, po takim locie człowiek robi wszystko jak zwykle, wypełnia dokumenty, podpisuje je, sprawdza czy samolot jest dobrze zabezpieczony, czy nic nie jest uszkodzone, czy ptak nie uderzył w maszynę i wychodzi się do domu czy do hotelu. Bo to jest taki zawód, że się go zostawia w pracy, nie zabiera do rodziny, do domowników. Po wylądowaniu i podpisaniu dokumentów, zdaniu samolotu, zamknięciu drzwi, praca zostaje na lotnisku. Przynajmniej ja tak mam.

- Zrealizowała Pani marzenie człowieka o oderwaniu się od ziemi. Czego uczy ten zawód?

- Na pewno nauczył mnie pokory; mam dziś świadomość, że my, ludzie, nie jesteśmy ze stali. Nauczył mnie także wiary

w sens procedur, że po to zostały wymyślane, często poprawione po różnych katastrofach, żeby za nimi podążać i nie dopuszczać do kolejnych tragedii. W kokpicie mam szacunek do procedur; wiem, że nie utrudniają, ale ułatwiają mi pracę. Nie skracam ich i nie omijam. Zawód nauczył mnie też respektu do natury, do jej ogromu i nieprzewidywalności. Z pogodą trudno jest rywalizować, nie mówiąc o wygranej. Oglądałam kiedyś odcinek „Katastrofy w przestworzach”, w którym samolot wleciał w burzę. Dochodzeniowy, prowadzący śledztwo, powiedział coś bardzo prostego, mianowicie, że jak się widzi burzę przed sobą to decyzja jest bardzo prosta, należy skrócić w lewo albo w prawo, by ją ominąć. To prawda. Są rzeczy, na które my jesteśmy wytrenowani, przygotowani, wiemy, które zjawiska atmosferyczne są groźne, które mniej, ale niezależnie od stopnia niebezpieczeństwa trzeba mieć wielki szacunek wobec przyrody. Jeśli chmura burzowa zdarza się na podejściu do pasa to wchodzi się w „holding” i czeka się, aż się przesunie. Nie przelatuje się przez chmurę burzową. Jeśli paliwa nie ma wystarczająco dużo, by czekać aż chmura burzowa się przesunie, to leci się

na lotnisko zapasowe, które jest wyznaczone już wcześniej. Te wszystkie procedury są tak dokładnie zapisane, jak konstrukcja składania klocków dla dziecka. Dają poczucie bezpieczeństwa.

- Czy założenie rodziny zmieniło Pani podejście do latania?

- Mój mąż mnie wspiera i kibicuje w decyzjach oraz awansach. Czasami widzi najgorsze scenariusze, choćby oglądając „Katastrofy w przestworzach”, ale ja zawsze przecież wracam do domu, nigdy nie miałam nawet zdarzenia lotniczego. Kiedy pyta pani o założenie rodziny, to szczerze odpowiem, że przekładałam moment urodzenia dziecka, wiedziałam, że jak zajdę w ciążę, będę musiała przestać latać. Nie latał od dwóch lat. Teraz będę musiała sporo energii poświęcić na naukę, ale cieszę się, że podjęliśmy taką decyzję. Mam nadzieję, że uda mi się w czasie lotów nie tęsknić za dziećmi. Wierzę, że profesjonalizm, który zawsze starałam się utrzymywać na wysokim poziomie, pozwoli mi w pracy myśleć wyłącznie o pracy, tak by mieć czystą głowę.

- Powiedziała Pani, że warto iść za marzeniami, mierzyć wysoko. Patrząc wstecz, jest Pani w dobrym momencie

swojego życia?

- Tak, jestem zadowolona, to dobre miejsce, z rodziną, córeczkami, starszą Emilią, młodszą Laurą. Nie żałuję niczego, cieszę się, że mogłam się spełnić prywatnie i zawodowo. Dorosłam do tego, by dostać awans kapitański i jest to przyjemne uczucie, pomimo bardzo dużej odpowiedzialności. Dostrzeżono we mnie predyspozycje na tę funkcję i mi ją powierzono. To spełnione życie, wciąż dużo przede mną, to nie koniec mojego rozwoju i awansów.

- Gdyby córki chciały latać, co im Pani powie?

- Jeżeli będą chciały latać i będą miały do tego predyspozycje, to oczywiście. Od kobiet, które marzą o macierzyństwie, będzie to jednak wymagać trudnych decyzji, czyli rezygnacji na jakiś czas z pracy. To kwestia wyborów, ustawienia priorytetów. Ja też musiałam wybrać czy rodzina, czy dalsza kariera. Chciałam mieć rodzinę i chciałam być pilotem. Musiałam połączyć dwie miłości. Tak więc teraz mam przerwę na bycie mamą, a do latania wracam pod koniec tego roku. Można mi życzyć tylko jednego: Zawsze tyle samo lądowań co i startów.

ROZMAWIAŁA
Iga Kuk



Pochodzenie ma znaczenie



inicjatywy



miejsca



biznes



smak



woda



dizajn

W Małopolsce wiemy, że partnerska współpraca daje największe efekty. Solidny biznes, ciekawy design, dobry smak, wartościowe inicjatywy, atrakcyjne miejsca – to filary projektu Made in Małopolska, który promuje niepowtarzalne produkty, wartościowe firmy i atrakcje w naszym regionie. Czy na pewno znasz już najlepsze marki z Małopolski? Przekonaj się sam, bo **pochodzenie ma znaczenie!**



Poznaj Partnerów projektu Made in Małopolska
www.madein.malopolska.pl



Facebook



Instagram



Tik Tok

Znudzony PARYŻEM, chory na NOWY SĄCZ

Witkacy, który zazdrościł Barbackiemu zarobków, ale lekcewał go jako artystę i nazywał „takim Barbackim”, nie był wyjątkiem. Nie sposób zaprzeczyć, że Bolesław Barbacki nie spełnił się jako malarz w stopniu, na jaki zasługiwał jego talent. Wrodzone zdolności i solidne artystyczne wykształcenie powinny zaowocować czymś więcej niż sława najbardziej wziętego w Nowym Sączu portrecisty.

wały nowe idee, malarze z jego pokolenia odrzucali „naśladowanie natury”. Czy nie mógł i on stać się „nowoczesnym”?

Zapewne mógłby, gdyby chciał. Wiele jego prac dowodzi, że miał wystarczająco wszechstronne możliwości. Ale najwyraźniej nie chciał. W artystycznym Paryżu czuł się obco. Pisał: „Z innej gliny jestem ulepiony - mam inne poglądy i inną naturę”. Natura zaś ciągnęła go do Nowego Sącza.

mu to, że wkrótce po przyjeździe skłócił się z inną sądeczanką, należąca do innego już pokolenia artystów, Marią Ritter.

Z Polakami-artystami ni na krok nie postąpiłem „k sobie”. Próbowałem tu i tam szukać kontaktu - ale czy moja tylko w tym wina, że bezskutecznie? (...) W wielu przypadkach utrudniła mi sytuację p. Mańka Ritterówna, która w kołach malarskich utarła mi opinię za rozumialca, nie dającego sobie słowa powiedzieć.

Społeczne aktywności, jakim się poświęcał, pochłaniały zresztą nie tylko pieniądze. Ukochany teatr sądeckiego Towarzystwa Dramatycznego, którego był współzałożycielem czy założona przez niego dla ubogich dziewcząt Szkoła Przemysłowa Żeńska z pewnością odbierały czas, siły, energię psychiczną

Niechć młodej krajanki musiała być dla niego tym bardziej przykra, że kiedyś w nowosądeckim gimnazjum uczył ją rysunków.

Konflikt artystycznych pokoleń? Nie wydaje się. Przecież, kiedy Barbacki przybył do Paryża, mające już kilkanaście lat „Panny z Avignon” Picassa stawały się pomału dziełem klasycznym. Nawiasem mówiąc, Picasso był starszy od Barbackiego o całe dziesięciolecie. A więc może prowincjonalizm zacofanej Polski, do której nie dotarły jeszcze ożywcze idee z oświeconego Zachodu? Też raczej nie. Obok jedyne w swym rodzaju Witkacego działali już (i to w niedalekim od Nowego Sącza Krakowie!) formiści z braćmi Pronaszkami, Tytusem Czyżewskim i Leonem Chwistkiem na czele.

Nawet wśród bliskich kolegów, z którymi wcześniej studiował w krakowskiej ASP, miał opinię „malarza starej daty, zasklepionego w ideach sprzed 50 laty (tak w oryginale)”, jak sam skarżył się w jednym z listów do brata Zdzisława. Tymczasem nie tylko w Paryżu, gdzie w 1924 r. spędził kilka miesięcy, ale i w Krakowie przewagę zyski-

Wytrwał nad Sekwaną do końca zaplanowanego pobytu tylko z obawy, że wcześniejszym powrotem sprawiłby zawód rodzinie, która ten jego wyjazd sfinansowała.

Można się domyślać, że szczególnie bolał go brak zrozumienia wśród rodaków z paryskiej kolonii artystycznej. Nie pomogło

Ciąg dalszy - następna strona



Barbacki musiał przecież znać ich dokonania. Wspomniana już Maria Ritter też dołączyła do „twórców nowoczesnych”. Barbacki nie dołączył, bo takie miał widać zasady.

Nie nam oceniać, czy nie za- nadto trzymał się tych swoich zasad. I w malarstwie, i poza nim. Niektóre z jego przekon- ań już wtedy mogły wyda- wać się staroświeckie. Świad- czą o tym takie choćby słowa zawarte w jednym z listów do rodziny:

Straszliwy rak toczy organizm ludzkości, mięsza rozumy, ślepotę rzuca na oczy, sęczy w krew truciznę... Jak grzyb przeniknął wszystkie tkanki i mackami ścisnął drgające ciało!...

Zapewne w trzecim dziesię-

cioleciu XX wieku było wystar- czająco wiele powodów, by usprawiedliwić podobne sądy. Charakterystyczne jednak, że za jedną z owych „sączonych w krew trucizn” uważał Bar- backi... nowoczesną sztukę:

Cynizm, brutalność, cham- stwo przyoblekły się w szaty kubizmu, neoklasycyzmu, neoimpresjonizmu, neoro- mantyzmu - wywiesiły dzi- waczne, reklamowe szyldy, osłaniające jeszcze dziwacz- niejszą treść!

Buntowała się przeciw temu cała jego natura.

Twierdzę, że ów „prowincjona- lizm” i „akademizm” uratowały mię od duchowej śmierci (...) Wiem, przeciwko mnie wyto- czą cały arsenał broni najpod- lejszego gatunku - będą się

wyśmiewać, bagatelizować, zbywać milczeniem, będą kpić, ironizować, szydzić, zohy- dzać w opinii publicznej. Mimo wszystko jednak oświadczam wam: jestem gotów.

Pamiętając, że Barbacki właśnie za swoje zasady był atakowany przez entuzjastów „postępu” w sztuce, lepiej możemy zrozumieć jego go- rączkową działalność w innych niż malarstwo dziedzinach. niesprawiedliwie byłoby posą- dzać go o to, że rozmiął swój talent na drobne po prostu dla pieniędzy. Rzeczywiście, zara- biął dużo. Żył jednak skrom- nie. Portretując zamożnych mieszczan, ziemian i genera- łów, a także ich żony i córki, mógłby rzeczywiście opływać w dostatki, gdyby wszystkich niemal zarobionych pieniędzy nie topił w licznych przedsię-



FOT. ARCHIWUM

wzięciach, które zysków nie przynosiły.

Społeczne aktywności, jakim się poświęcał, pochłaniały zresztą nie tylko pieniądze. Ukochany teatr sądeckiego Towarzystwa Dramatycznego, którego był współzałożycielem czy założona przez niego dla ubogich dziewcząt Szkoła Przemysłowa Żeńska z pewnością odbierały czas, siły, energię psychiczną, które mogłyby poświęcić na własny rozwój. Może jednak właśnie w nich udawało mu się realizować własne zasady i chronić się w ten sposób przed „śmiercią duchową”.

Chyba nie obraziłby się też na zarzut, że do końca życia pozostał „malarzem nowosądeckim”. Bez Nowego Sącza żyć by nie mógł. Nie tylko w 1924 r. uciekł tu z Paryża, kie-

dy tylko okoliczności pozwoliły. 15 lat później, na krótko przed wybuchem wojny, znalazł się we Lwowie, ale zostać nie chciał, choć wszyscy dookoła tłumaczyli, że tam bezpiecznie, bo tak daleko Niemcy nie dojdą. Odpowiadał, że tym bardziej musi wracać, bo jego miejsce jest w Nowym Sączu. Także po pierwszym aresztowaniu przez Niemców w 1941 r.,

usilnie namawiany, by wyjechał i ukrył się, nie posłuchał. Legenda głosi, że 21 sierpnia został rozstrzelany w masowej egzekucji, bo odmówił namalowania portretu osławionego Heinricha Hamanna, szefa nowosądeckiego gestapo. Prawda to czy nie, trafnie chyba pokazuje, jaki rzeczywiście był.

Marek Harny

Artykuł Marka Harnego pochodzi z II tomu albumu autorstwa Piotra Drożdżika i Agnieszki Małeckiej poświęconego twórczości wybitnego artysty Bolesława Barbackiego - najlepszego polskiego portrecisty, urodzonego w Nowym Sączu. Namalował on około 800 portretów a jego klientami była głównie elita II Rzeczypospolitej: generałowie, biskupi, prawnicy, profesorowie uniwersytetu Jana Kazimierza ze Lwowa, szlachta, ziemiaństwo, aktorzy i przedsiębiorcy.

Autorzy albumu zwracają się do wszystkich z gorącym apelem. Jeśli ktoś z posiada jeszcze informacje o obrazach, rysunkach, pamiątkach czy też innych artefaktach, proszony jest o kontakt z autorami: a.malecka@muzeum.sacz.pl.





JAK DAWNIEJ

19



79



NOWOŚĆ

LODY RÓZEK BRACIA KORÁL 180 ml
cinnamon roll

NOWOŚĆ

LODY BRACIA KORÁL 450 ml
popcorn
z sosem karmelowym



NOWOŚĆ

LODY BRACIA KORÁL 900 ml
cinnamon roll



Chwile, do których wracasz

Kiedy w 1984 roku Andrzej Grygiel założył swój zakład ślusarski, wiele osób wątpiło w jego powodzenie. To jednak jeszcze bardziej motywowało przedsiębiorcę z gminy Korzenna do działania. Dziś spółka z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Grupa Grand to ponad 40 lat doświadczenia i nieustannego rozwoju, cztery filary działalności, około 200 pracowników, niezliczone zrealizowane plany, a także duże i małe sukcesy. To również momenty walki z przeciwnościami, ale też własne, innowacyjne produkty oraz pełne optymizmu spojrzenie w przyszłość.



40 LAT



GRAND
GRUPA

- doświadczenie

i potencjał budowany przez 40 lat



Dla marki Grand nadszedł czas jubileuszy: 40-lecie istnienia GRAND i 20-lecie działalności Grand Chotowa Hotel***SPA&Resort. Jak zawsze podkreśla Prezes Andrzej Grygiel, na sukces Grupy Grand przez lata pracowały ręce i umysły wielu ludzi. Niektórzy są częścią firmy do dziś.

Najpierw był zakład ślusarski w Jasiennej - niewielki, rodzinny biznes. W 1990 roku działalność firmy rozszerzyła się o branżę budowlaną, która dzisiaj jest realizowana w charakterze generalnego wykonawstwa inwestycji na terenie całego kraju.

W 2005 roku powstał kompleks turystyczny w Chotowej w województwie podkarpackim. Obecnie to trzygwiazd-

kowy hotel, strefa spa, plaża nad zalewem z czystą przepływającą wodą i pełnowymiarowymi atrakcjami, a także obiekt konferencyjny o nazwie Wehikuł Czasu.

W 2010 roku firma Grand rozszerzyła swoją działalność o kolejny filar - branżę sprzedaży paliw płynnych na franchisingowej Stacji Paliw Orlen w Bartkowej-Posadowej.

Prawdziwym kamieniem milowym w rozwoju firmy Grand była budowa nowoczesnej siedziby w Korzennej. W 2015 roku powstał budynek biurowy, z własnym działem badawczo-rozwojowym i halą produkcyjną wyposażoną w nowoczesny park maszynowy CNC.

- Moim wielkim marzeniem było zawsze, abyśmy potrafili świadczyć usługi na wysokim poziomie, ale też mieli własny produkt rynkowy, który będziemy sprzedawać - przyznaje Andrzej Grygiel. Tak też się stało. W 2020 roku firma Grand wprowadziła do oferty dwa nowe produkty oparte na własnej, autorskiej technologii produkcji. To baseny ze stali nierdzewnej, a także Grand Vertical Parking (GVP), czyli maszyny do pionowego, automatycznego parkowania pojazdów. To innowacja nie tylko na skalę Polski, ale też Europy i świata.

Inwestycje zrealizowane w ciągu lat przez firmę z gminy Korzenna można



zobaczyć w wielu miejscach Polski i poza jej granicami. To około 150 różnych rodzajów obiektów, a wśród nich: budynki administracyjne, obiekty sportowe, kryte i otwarte baseny oraz aquaparki, obiekty dla służb mundurowych i wojska, a także zabytki, które przeszły renowację i konserwację.

W 2023 roku dotychczasowa działalność gospodarcza Grand Andrzej Grygiel została przekształcona w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Grupa Grand Sp. z o.o. Dzięki konsekwentnym inwestycjom w jakość, potencjał oraz kompleksowość marka Grand cieszy się dziś rozpoznawalnością oraz zaufaniem ze strony klientów.

- Nasze plany na przyszłość są ambitne i optymistyczne, jednak dziś dziękujemy wszystkim, którzy byli dla nas wsparciem w dotychczasowej drodze - mówi z wdzięcznością Prezes Andrzej Grygiel.



FOT. ARCH. P. OSUCHOWSKIEGO

ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM OSUCHOWSKIM, WSPÓŁTWÓRCĄ PROGRAMÓW KULINARNYCH ROBERTA MAKŁOWICZA I EWY WACHOWICZ.

Z Robertem Makłowiczem DOOKOŁA świata

- Czytelnicy DTS24 pewnie nie wiedzą, że Oberżyswiat – czyli nasz recenzent alkoholowy – przez wiele lat kreował telewizyjne progra-

my kulinarne w TVP i w Polsce.

- Owszem, w 1997 r. oddaliłem się od dziennikarstwa gazetowego i przez kilkanaście lat pisałem scenariu-

sze formatów telewizyjnych i je produkowałem.

- Jak długo współpracowałeś z Robertem Makłowi-

czem, ile odcinków programów kulinarnych wspólnie wyprodukowaliście?

- Przez 10 lat wyprodukowaliśmy 222 odcinki. Tyle telewizja



wypuściła, bo był jeden odcinek, który nigdy nie miał premiery. Jego akcja toczyła się w więzieniu i wspólnie z osadzonymi Robert opowiadał o prozie więziennej kuchni. TVP ten akurat temat nie zachwylił. Programy zaczęliśmy w 1998, a współpracę z Robertem zakończyłem jesienią 2007 r. Dzisiaj wszystkie odcinki są dostępne na YouTube, pierwszych dziesięć z czołówką „W 80 dań dookoła świata”, kolejne już jako „Kulinarne podróże Roberta Makłowicza”.

- Skąd się w ogóle wzięła Twoja współpraca z Robertem Makłowiczem i pomysł na programy kulinarne?

- Z Robertem znaleźliśmy się od czasów licealnych (V LO im. A. Witkowskiego w Krakowie). W 1997 r. razem z żoną, Ewą Wachowicz założyliśmy firmę producencką. Zaczynaliśmy od talk-show, takie miłe, nikomu niepotrzebne programy, które po jednym sezonie samoistnie zgasty. Ale w jednym z odcinków potrzebowaliśmy człowieka, który by wytłumaczył widzom, jak się wiąże krawaty i muszki. Zaprosiłam Makłowicza, ponieważ chadzał z muszką pod szyją. Kierownikiem produkcji tego naszego programu była Agnieszka Makłowicz, żona

Roberta, więc poprosiłem go o udział w programie. Występował przez cztery minuty, powiedział coś zabawnego o wiązaniu krawatów i zrobił to na tyle fajnie, że od razu zaproponowałem mu, żeby został w programie na stałe, jako spec od savoir-vivre, który będzie odpowiadać na pytania widzów. Makłowicz był wtedy dziennikarzem krakowskiej redakcji „Gazety Wyborczej”, ale miał też pewne hobby, za które płaciła mu redakcja. Recenzował krakowskie knajpy.

- Od lekcji wiązania krawatów, a nawet muszki droga jeszcze daleka do kwintnej kuchni.

- Poczekaj. W naszym programie chciałem zrobić całośćkę o grillowaniu. Poprosiłem Roberta, żeby to poprowadził. Kręciliśmy ujęcia w centrum Manggha w Krakowie i on przez 8 minut stał przy grillu i opowiadał o pieczeniu mięsa i warzyw. Zobaczyłem wtedy, że po prostu kamera tego faceta kocha, że on ciągnie cały program. Natychmiast spytałem, czy nie nęci go program kulinarny.

- Co odpowiedział?

- Że to jest jego marzenie, tylko nie wie, jak to zorganizować, bo chciałby zrobić programy o kuchni CK Austrii. Zapropo-

nowałem, żeby to zrobić z większym rozmachem, takie... 80 dań dookoła świata. Napisaliśmy wspólnie z Robertem scenariusz formatu telewizyjnego, według którego mieliśmy zrobić 40 odcinków podróży kulinarnej dookoła świata, od Krakowa zaczynając. W każdym programie miały być dwie potrawy. Ewa pojechała z tym do TVP2, do Niny Terentiew. To był piątek. Nina obiecała, że przeczyta scenariusz w weekend i się odezwie. Zadzwoiła w poniedziałek rano: „Robimy to!”. Do- staliśmy pieniądze na pilota programu i nakręciliśmy w Krakowie pierwszy odcinek. Wtedy Robert jeszcze nie umiał patrzeć w kamerę, więc cały czas patrzył na operatora albo nagle się odwracał i na chwilę znikał z ekranu, co było dosyć zabawne. Program był jednak robiony jak na ówczesne warunki z rozmachem – scenograf, makijaż, wiele plenerów. Zaczynaliśmy na środku krakowskich Błoni, gdzie ustawiliśmy dekoracje. Zaprosiliśmy Jana Kante- go-Pawluśkiewicza, Andrzeja Starmacha i Grzegorza Turnaua jako gości, a Robert robił dla nich krakowskie śniadanie. Wzięliśmy najlepszego operatora, jakiego byliśmy w stanie zdo-

być - Mariusza Paleja - wtedy absolutną gwiazdę polskich teledysków, dziś reżysera filmowego.

- Jaka była Twoja funkcja?

- Była nas czwórka - dwa małżeństwa, Robert Makłowicz z żoną Agnieszką, która była kierownikiem produkcji oraz ja z Ewą, jako producenci. Chcieliśmy to robić jako spółka. Na stół trzeba było wyłożyć po 15 tys. zł, ale oczywiście istniało jakieś ryzyko biznesowe. Mogło się zdarzyć, iż telewizja nie kupi tego produktu. Robert z Agnieszką uznali, że nie są w stanie zaryzykować. W tej sytuacji my pokryliśmy finanse, a Robert z Agnieszką zgodzili się pracować za honorarium, choć zawsze po dżentelmeńsku dbaliśmy o to, żeby zyski dzielić pół na pół. Ja z Robertem pisałem scenariusze. Ja się koncentrowałem na fabule, w kulinaria się nie wtrącałem, to była domena Roberta. I tak to funkcjonowało przez 11 lat. W momencie, kiedy Ewa zadeklarowała, że będzie kręcić swój własny program „Ewa gotuje”, Robert stwierdził, że nie widzi możliwości, by rywalizować w telewizji ze swoim producentem. Myślę, że to było racjonalne.

- Ciąg dalszy
następna strona

- Gotowaliście na wszystkich kontynentach? Ile krajów objeżdżaliście?

- Nie liczyłem, ale jeśli Jamajkę potraktujemy jako Amerykę Północną, to nie gotowaliśmy tylko w Afryce i na Antarktydzie. Kiedy po trzech latach byliśmy już popularni, to zawsze mieliśmy więcej propozycji niż miejsca na antenie. Na początku kręciliśmy kilkanaście programów rocznie, a później nabraliśmy takiego rozpędu, że robiliśmy nawet 28 programów rocznie.

- To statystycznie jeden co dwa tygodnie.

- To trochę inaczej wygląda, bo telewizja ma swoje ramówki: jesienną i wiosenną. Zwykle w lipcu i sierpniu oraz na przełomie roku idą powtórki. Zwykle, przy ciągłych produkcjach, podpisuje się umowę na sezon i jest to 12-14 programów. Ale cofnijmy się jeszcze do początku, bo to jest interesujące. Nakręciliśmy pierwszy program, Nina dostała go na stół i odbiór był entuzjastyczny. Od razu dostaliśmy zamówienie na dwa następne. Pierwszy program był z Krakowa, a potem ruszyliśmy w podróż. Drugi z Zakopanego, trzeci ze Słowacji, potem dwa programy z Węgier, dwa z Austrii. Później mieliśmy jechać w stronę Włoch itd., ale to się zaczęło sypać, ponie-

waż telewizja w tamtych czasach była cienka - jeśli chodzi o reklamy - i zaczęła nas przyciskać, żebyśmy sami organizowali sobie sponsorów i reklamodawców. Później, kiedy się to wszystko rozkręciło, było na odwrót. To telewizja miała więcej reklam niż była w stanie wyemitować i były przetargi o miejsce. Reklamodawcy po prostu licytowali, kto ile daje i wygrywali najmocniejsi. Przed programem szło np. 15 reklam, a po programie 10. Taką jedną reklamą, no może półtora, to był w tamtych czasach cały budżet naszego programu,

więc telewizja robiła na tym świetny interes. W dodatku program zaczął być rozpoznawalny i to nie tylko w Polsce. Telewizja nawet chciała nas nakłonić, żebyśmy robili wersję angielską - z napisami, ale uważali, że to my mamy przygotować opakowanie anglojęzyczne. Ponieważ absolutnie nie zamierzali dzielić się zyskami, więc nie podjęliśmy tematu.

- Ciąggle wracasz do początków cyklu.

- Bo te początki były najbardziej interesujące. Wcześniej, chyba od roku, był tylko w TVN program kulinarny prowadzony

przez Macieja Kuroń. Maciek gotował w studio i program bardzo dobrze się sprzedawał, chociaż był „drewniany”. Maciek Kuroń chyba nie lubił kamery. TVP też chciała mieć coś kulinarnego. Dopiero dwa lata później dowiedzieliśmy się - przez przypadek zresztą - że telewizja publiczna w czerwcu 1998 zamówiła taki format telewizyjny. Miał ten program prowadzić Piotr Bikont, prywatnie przyjaciel Roberta Makłowicza, dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Nakręcili, przynieśli do telewizji, ale było to tak beznadziejnie, że się



w „dwójce” popłakali. A dwa dni później Ewa przyszła z naszym scenariuszem, więc tak naprawdę uratowaliśmy telewizji honor. Wstrzeliliśmy się idealnie.

**- Od początku wie-
dzieliście, jak to
ma wyglądać?**

- Obaj z Makłowiczem byliśmy fanami Keitha Floyda. Po-dróżował po świecie, gotował, jadł i pił w plenerze. Nie chcieliśmy programu studyjnego. Było trudno, bo takiej improwizacji telewizji nie lubiła. Jak robiliśmy drugi program w Zakopanem, to stało się nieszczęście.

Mechanizm był taki, że zwykle z Robertem jechaliśmy na 2-4 dni, żeby przygotować wszystko do produkcji, po czym dojeżdżała ekipa i kręciliśmy. W Zakopanem w dniu zdjęć o 7. rano do-wiedzieliśmy się, że reżyser nie przyjedzie, bo ma włamanie do mieszkania w Warszawie, a operator zadzwonił, że też mu coś wyskoczyło, więc przysłał swojego kolegę. Podjąłem wtedy ryzyko, pewnie jedno z największych w moim życiu zawodowym, i to ja stanąłem do pracy jako reżyser, nie mając żadnego w tej materii doświadczenia. Jakoś

udało się program skleić, poszedł do emisji, po czym ten odcinek przez kolejnych kilka lat był powtarzany w telewizji pewnie 10-15 razy. Po każdej emisji dzwonił do nas producent programów Maćka Kuronia, Walter Chełstowski i zawsze komplementował, że to jest wzór programu kulinarnego.

**- To chyba miłe –
pochlebstwa
od konkurencji?**

- Wyważyliśmy drzwi do pokoju, który nie istniał, ponieważ w Polsce nie mieliśmy wzorców. Natomiast Robert miał niesamowity

talent, kamera go kochała. I kocha! Programy kulinarne na świecie nigdy nie mają więcej oglądalności jak 3-4 proc. całej widowni. Natomiast my dojechaliśmy do 8 proc., co jest ewenementem w skali światowej. Pewnie dlatego, że my nie ograniczaliśmy się tylko do gotowania. To była po prostu zabawna dziennikarska opowieść np. o Toskanii, Australii. Włączyliśmy w to wątki komediowe, Robert przebierał się w dziwne stroje, kąpał się nago w przeręblu w Bieszczadach, latał balonem w Australii, jeździł konno w Urugwaju, a w Austrii zasuwał bobslejem. Więc nasz program oglądało wiele osób, które wcale nie były zainteresowane samym gotowaniem. A później to już było dziennikarskie eldorado. Chociaż z telewizją mieliśmy bandycką umowę, to znaczy telewizja płaciła nam tak, jakbyśmy wszystkie odcinki nagrywali w Krakowie, czyli wszystkie koszty dodatkowe związane z wyjazdami, musieliśmy sami organizować, szukać sponsora. Z drugiej strony telewizja bardzo pilnowała, żebyśmy tych sponsorów w programie nie przemycali.

*- Ciąg dalszy
następna strona*



FOT. ARCH. P. OSUCHOWSKIEGO



FOT. ARCH. P. OSUCHOWSKIEGO

- Kim byli sponso- rzy?

- Najczęściej były to ministerstwa turystyki, handlu zagranicznego z różnych krajów, które chciały żeby Telewizja Polska opowiedziała coś o Tajlandii czy Chorwacji, a część to byli konkretni producenci. Czyli np. jak byliśmy na Jamajce to za pieniądze producentów kawy, jak w Andaluzji to za pieniądze producentów brandy de Jerez. Żebyśmy pojechali gdzieś na cztery odcinki, to musieli wyłożyć około 20 tys. dolarów.

- Podróżując z Robertem Makłowiczem dookoła świata sam nauczyłeś się gotować?

- To zabawne, jak zaczynaliśmy kręcić te programy i nasza ekipa, a było to osiem sprawdzonych w boju osób, szła do knajpy

na obiad, to szczytem ekstrawagancji było zamówienie bryzola z pieczarkami. Natomiast kilka lat później, gdy siadaliśmy w restauracji, to złożenie zamówienia u kelnera trwało godzinę, bo wszyscy tak wydziwiali. Staliśmy się domorosłymi ekspertami kulinarnymi. A rzecz druga, odwiedzaliśmy wiele restauracji, czasem mieliśmy to szczęście, że byliśmy w tych najślawniejszych. Kiedy oglądasz od kuchni, jak ci wielcy robią jakieś krewetki w szampanie, co brzmi przecież tajemniczo, widzisz, że to jest bardzo proste. Po tem te umiejętności po prostu przywozisz do domu. Wydaje mi się, że dla wszystkich którzy pracowali przy tym programie, gotowanie stało się hobby. Ja obecnie mieszkam w Kanadzie i robię po-

kazowe wielodaniowe obiady dla znajomych. Przy nich kroję, smażę i opowiadam co robię i sprawia mi to wielką przyjemność. Za to najbardziej jestem wdzięczny Robertowi

Makłowiczowi. Moje alkoholowe hobby – nie chodzi o spożywanie! - też się stąd wzięło. Po prostu razem z Robertem lubiliśmy spędzać czas w winnicach, desty-



larniach, browarach. Ja to robię do dzisiaj! Robert również...

- Jaki jest przepis na dobry program kulinarny?

- Doświadczenie, każe mi konstatować, iż to proste. Potrzebne są trzy elementy. Pierwszy, potrzebujesz charyzmatycznego moderatora. Program musi prowadzić człowiek (a nie AI!), którego polubi widownia. Dobrze, gdy prowadzący ma autorytet doświadczonego kucharza, to przecież na ekranie widać, jak kroi cebulę... Drugi warunek, stuprocentowa wiarygodność kulinarna, żadnej ściemy. Jeżeli będziesz twierdzić, że czosnek granulowany jest lepszy od świeżego, publiczność szyb-

ko złapie, że kłamiesz, bo tak chcą sponсорzy. Trzeci element to rozmach inscenizacyjny, czyli kasa. Jak są pieniądze na wypasiony program, będzie fajnie. Jeżeli spełnisz dwa z tych warunków będzie dobrze. Jeżeli wszystkie trzy, jesteś skazany na sukces.

- A po Robertcie Makłowiczu przyszedł czas na programy Ewy Wachowicz „Ewa gotuje”.

- Po drodze były jeszcze inne formaty. Na castingach sprawdziłem ponad 200 osób. W tym wielu profesjonalnych aktorów. To nie takie proste, robić jajecznicę i wiarygodnie opowiadać o czymś ciekawym. Nie wypada mi recenzować programu byłej żony.

Takich programów – zapraszam państwa do mojej kuchni - było sporo i jeszcze będzie. Ale takie formaty w telewizji skazane są na zmierzch. Czasy się zmieniają. Nie zawsze w dobrą stronę. Dzisiaj telewizja idzie w innym kierunku, sztucznie dramatyzuje programy kulinarne, są różne turnieje, awantury, łyzy. Klasyczne okienka kulinarne przenoszą się więc do internetu. Tam rządzą i amatorzy (sam lubię oglądać filmiki kręcone przez włościan z Kaukazu i przez paru kucharzy z Włoch), i największe gwiazdy! Makłowicz jest tego idealnym polskim przykładem. Dokonał przełomu po raz drugi w kamerywanym życiu zawodowym! Cały czas śledzę

aktywność youtubową i fejsbukową na przykład Gordona Ramsaya. Okazuje się, że to przemiły facet! A te wszystkie awantury w kuchni to tylko kreacja stacji telewizyjnych. I najważniejsze, pokaż, że lubisz to, co robisz! Jest taki hollywoodzki aktor i producent Stanley Tucci. Ciepły, fajny gość, który telefonem uwiecznia swoje kulinarne hobby. Taki powinien być współczesny program kulinarny. Ma mówić nie do milionów odbiorców reklam, ale do Ciebie. Ma być intymny. Powtarzam, dzięki internetowi każdy może być kulinarną gwiazdą. A telewizja niech się wypcha!

ROZMAWIAŁ
Wojciech
Molendowicz



FOT. ARCH. P. OSUCHOWSKIEGO



OFERUJEMY:

- mięso drobiowe z własnej produkcji
- wędliny
- ryby mrożone
- nabiał
- konserwy mięsne i rybne
- pieczywo
- wyroby garmazeryjne

SIEDZIBA FIRMY / ZAKŁAD PRODUKCJI

ul. Chopina 6A
NOWY SĄCZ
tel. 18 547 29 03

SKLEPY FIRMOWE:

NR I - ul. Sobieskiego 9
NR II - ul. Chopina 6A
NOWY SĄCZ

www.gosdrob.pl



DLACZEGO WARTO JEŚĆ INDYKA ?

1. Ma najwyższe walory dietetyczno - zdrowotne.
2. Jest ubogi w tłuszcz i cholesterol, zawiera mniej nasyconych kwasów tłuszczowych niż pozostałe gatunki mięsa, ale więcej nienasyconych kwasów tłuszczowych.
3. Jest polecany osobom cierpiącym na miażdżycę, otyłość, nadciśnienie, cukrzycę oraz rekonwalescentom i alergikom.
4. Jest łatwy w przyrządzaniu.
5. Ma najwyższy poziom pełnowartościowego białka wśród mięs drobiowych.
6. Zawiera cenne składniki odżywcze np. magnez, potas, żelazo, fosfor, cynk, selen, witaminy: B1, B2, B3, B6, B12.
7. Zawiera L-tryptofan - aminokwas działający korzystnie na nastrój i przyspieszający regenerację organizmu.

Mięso i wędliny na każdy stół!

KRYNICZANKA – płynne dziedzictwo Krynicy-Zdroju



Krynica to nie tylko woda mineralna – to żywa historia zamknięta w butelce, która sięga czasów monarchii austro-węgierskiej. Od momentu odkrycia źródła w 1793 roku, ta wyjątkowa woda była świadkiem przemian historycznych, rozwoju uzdrowiska Krynica-Zdrój oraz niezliczonych ludzkich historii.

Historia Krynicy zaczęła się w XVIII wieku, kiedy Styx von Saunbergen, austriacki urzędnik, odkrył żywe, tryskające źródło na ziemiach zakupionych od miejscowych chłopów. Zlecił on badania wody profesorowi Uniwersytetu Lwowskiego, Baltazarowi Hacquetowi, który potwierdził jej niezwykle właściwości lecznicze. Niedługo potem powstała pierwsza w Polsce rozlewnia wód mineralnych. Początki były trudne – wodę transportowano w kamionkowych naczyniach, które często ulegały uszkodzeniom. Mimo to już w 1810 roku sprzedano 15 000 butelek, co stanowiło niebywały sukces na skalę Galicji.

Towarzyszka ważnych wydarzeń

Krynica była świadkiem niejednej biesiady i uroczystej uczty, dodając elegancji arystokratycznym stołom monarchii austro-węgierskiej i gasząc pragnienie po intensywnych tańcach na przedwojennych balach. Również w czasach PRL-u charakterystyczne szklane butelki Krynicy miały swoje stałe miejsce na stole, wiernie towarzysząc Polakom w trudnych, ale i radosnych momentach.

– Przyjeżdżam tu od lat, nie tylko po zdrowie, ale i dla tych wszystkich niezapomnianych chwil. Krynica ma w sobie coś magicznego – nie tylko cudowne wody, ale i całą tę atmosferę. Wspólne spacerowanie po deptaku, rozmowy, nie tylko o zdrowiu, ale o życiu, o miłości... Krynica to nie tylko uzdrowisko, to kawałek mojego serca – wspomina Pani Maria, wieloletnia kuracjuszka Krynicy-Zdroju.

Od czasów, gdy wodę odmierzano się w uncjach, a kuracjusze skrupulatnie liczyli kroki zgodnie z zaleceniami konsyliarzy, uzdrowisko zmieniło swoje oblicze. Właściwości krynickich



wód wciąż pozostają jednym z głównych elementów wykorzystywanych w kuracjach uzdrowiskowych, a sama Krynica stanowi wspaniałe wsparcie zdrowotne dostępne również na sklepowych półkach i w sklepie online, co pozwala cieszyć się jej smakiem i właściwościami na co dzień – zarówno w Krynicy, jak i w domowym zaciszu.

Tradycja w zgodzie z nowoczesnością

Krynica to nie tylko woda o zdrowotnych właściwościach, ale także przykład odpowiedzialnego podejścia do ochrony środowiska i zrównoważonego rozwoju. Firma nie stosuje nowatorskich technik wydobycia – zamiast tego pozwala działać naturze, korzystając z naturalnego gazu w złożu, co pozwala na samoczynną eksploatację źródeł. W ten sposób proces wydobycia wody jest jak najbardziej zgodny z naturalnym rytmem przyrody. Firma wprowadza również procedury, które pozwalają skutecznie monitorować stan źródeł wód i chronić jej zasoby na każdym etapie produkcji. Wszystkie wody Krynicy, w tym wody lecznicze jak Zuber, Jan i Słotwinka, podlegają regularnym badaniom, co zapewnia ich najwyższą jakość. Wody lecznicze są wydobywane na podstawie koncesji, a ich eksploatacja musi spełniać rygorystyczne normy ochrony środowiska. Jednocześnie produkcja krynickich wód opiera się na standardach, które gwarantują bezpieczeństwo i wysoką jakość, zgodnie z przepisami Ministerstwa Zdrowia. To dzięki temu zarówno kuracjusze w Krynicy, jak i osoby sięgające po Krynica w butelce, mogą cieszyć się zdrowiem wspieranym przez naturę i mieć pewność, że każda butelka wody, która trafia do ich rąk, jest w pełni bezpieczna.

– Krynica to opowieść o naturze, historii, dążeniu do zdrowia i harmonii. Nie tylko zasila nasze ciała minerałami, ale także inspirowała nas do działania na rzecz zrównoważonego rozwoju i odpowiedzialności społecznej. Jako firma, jesteśmy dumni, że Krynica nie tylko od lat wspiera zdrowie ludzi, ale i skutecznie łączy tradycję z nowoczesnością – podsumowuje Jerzy Piotrowski, prezes Uzdrawiska Krynica Żegiestów.

ZAMIESZKAJ NA ZIELONYM OSIEDLU 8 KM OD CENTRUM KRAKOWA

Ceny już od **7067 zł** za m²

www.akopol.com

tel: 12 648 42 30



GŁÓWNE ATUTY REALIZOWANEGO OSIEDLA W BIBICACH

- CENTRALNE OGRZEWANIE I C.W.U. Z POWIETRZNEJ POMPY CIEPŁA RENOMOWANEJ FIRMY VISSMANN;
- MIESZKANIA NA PARTERZE Z PRZYNALEŻNYMI DO NICH OGRÓDKAMI;
- MIESZKANIA NA PIĘTRZE DWUKONDYGNACYJNE Z DUŻYM BALKONEM;
- WENTYLACJA MECHANICZNA Z REKUPERACJĄ FIRMY VISSMANN;
- INSTALACJA FOTOWOLTAICZNA POLSKIEJ MARKI;
- ZWIĘKSZONA MOC ENERGETYCZNA W KAŻDYM LOKALU UMOŻLIWIAJĄCA ŁADOWANIE POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH Z GNIAZDEK DOMOWYCH ORAZ OSIEDŁOWA INFRASTRUKTURA ENERGETYCZNA DO MONTAŻU STACJI ŁADOWANIA POJAZDÓW ELEKTRYCZNYCH;
- TERENY ZIELONE DOKOŁA OSIEDLA.



**Zobacz
lokalizację
osiedla**



JERZY OWSIAK PRACOWAŁ W NOWYM SĄCZU.
DOTARLIŚMY DO ARCHIWALIÓW DOKUMENTUJĄCYCH TEN FAKT

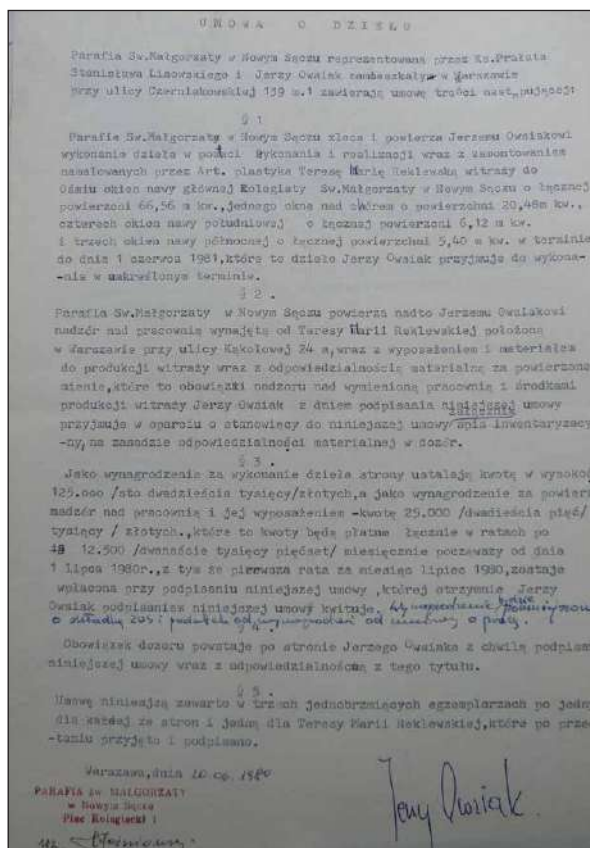
Założyciel WOŚP tworzył witraże w BAZYLICE

Zazwyczaj najciekawsze i najbardziej intrygujące w historii są wydarzenia nieoczywiste. Do takich z pewnością należy epizod w życiorysie Jurka Owsia, twórcy Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, mający związek z Nowym Sączem i bazyliką św. Małgorzaty. Dotarliśmy do archiwalnych dokumentów oraz informacji, z których wynika, że w latach 80. ub. wieku Jerzy Owsia pracował tutaj. Gdzie? W kościele! Co robił? Tworzył istniejące tam do dziś witraże.

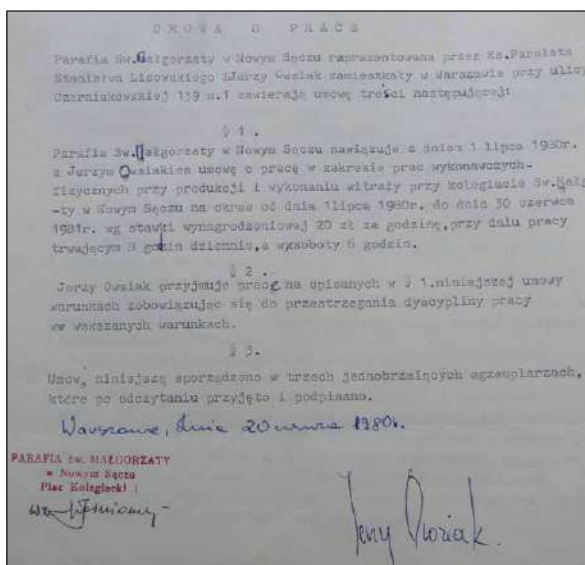
Na trop sądeckiego wątku w karierze Jerzego Owsia natrafił 15 lat temu historyk Jakub Bulzak, który zbierał wówczas materiały do swojej pracy doktorskiej. Bulzak przeprowadził kwerendę w archiwum kościoła św. Małgorzaty, gdzie wertował archiwa dokumentujące dzieje parafii. Jedno ze źródeł przykuło jego uwagę i na wiele lat zapadło w pamięć.

– Wśród teczek znalazła się jedna, w której ksiądz Stanisław Lisowski zarchiwizował dokumentację związaną z wykonaniem w latach 1980-81 nowych witraży do kościoła św. Małgorzaty. Zostały one zamówione u Teresy Reklewskiej, jednej z najwybitniejszych przedstawicielek sztuki witrażowej. A akurat w tamtym czasie zatrudniony w jej pracowni był Jerzy Owsia. Wówczas mało komu znany 27-latek, niedoszły student Akademii Sztuk Pięknych – wyjaśnia dr Jakub Bulzak.

-Ciąg dalszy - następna strona



FOT ARCHIWUM





JERZY OWSIAK FOT. INSTAGRAM

Czego możemy dowiedzieć się z archiwalnych dokumentów? Są w nich między innymi szczegółowe zapisy umowy o pracę. Jest też informacja, że Owsiak od lipca 1980 do czerwca 1981 r. zarabiał 20 zł na godzinę, jego dzień pracy trwał standardowe osiem godzin, przy czym w sobotę ten czas był krótszy o 120 minut. Nieco inaczej mają się sprawy w kontekście umowy o dzieło, gdzie ustalono, że za wykonanie witrażu przysługuje kwota 125 tys. zł, a ponadto 25 tys. za nadzór nad powierzoną w opiekę pracownią. Suma została podzielona na raty wypłacane miesięcznie.

Mamy również zestawienie pobrań i potrąceń obowiązujących w wynagrodzeniach tamtego okresu, jak również korespondencję z proboszczem parafii na temat ustalenia terminów wypłacania należnej gratyfikacji. Wszystko to spisane na maszynie z odręcznymi poprawkami.

Wzmiankę na temat pracy twórcy Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy możemy znaleźć również we wspomnieniach sprzed lat, którymi dzieliła się Teresa Reklewska, opisując proces formowania się zespołu, który angażował się w realizację zamówionych w jej pracowni projektów.

– Przyszedł Jurek Owsiak, który nie miał za sobą żadnych formalnych studiów, tylko chciał coś

robić. W tych ludziach wyczuwałam entuzjazm, chęć szukania czegoś nowego, zrobienia czegoś wspólnie. W tym zespole powstały wielkie realizacje – okna witrażowe kościoła Dominikanów we Wrocławiu, kościoła św. Małgorzaty w Nowym Sączu, monumentalne witraże kościoła św. Andrzeja Boboli przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, okna do Japonii – kościół i college w Tokio, oraz prefektura policji w Kumagaya – mówiła artystka w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej w sierpniu 2010 r.

Wspomnieniami z młodości dzielił się także sam Owsiak, z sentymentem tłumacząc, na czym polegała jego praca i relacjonując emocje, jakie towarzyszyły mu podczas nauki pięknego rzemiosła tworzenia witraży:

„Najtrudniejsze w projekcie witraży jest to, aby mógł on być spokojnie przerzucony na szkło, a w ostateczności na jego podziały, i łączenie go ołowiem. Od zarania dziejów projekt należało narysować, pomalować, abyśmy wiedzieli w jakiej kolorystyce ma być ostatecznie okno, a potem przenieść cały rysunek na karton, który później należy pociąć na szablony. Dzisiaj na projekt kładziemy kalki i po prostu odrysowujemy linie ołowiu i kształty wycinanego szkła. Nie raz na jednej kwaterce, czyli oknie, tych części może



WITRAŻE W BAZYLICE ŚW. MAŁGORZATY. FOT. ARCHIWUM

być nawet kilkaset. To taka układanka jak puzzle. Kiedy wytniemy wszystkie szablony specjalnymi nożyczkami, które przy cięciu od razu „połykają” ten kawałek brystolu, który jest grubością ołowiu, kładziemy wycięty szablon w odpowiednie miejsce (każdy szablon jest ponumerowany) i później każdy z nich kładziemy na odpowiedni kolor szkła. Emocji w tym mnóstwo, bo na rusztowaniu na tle dużego okna stoją różne tafle szkła, a my musimy wyobrazić sobie, jak to będzie wyglądało po wycięciu, jak kolory będą ze sobą harmonizowały i jak nam się wszystko ułoży w całość. To tylko kolory szkła, które jeszcze później będziemy malowali tlenkami metalu, aby postaciom namalować oczy, aby morze miało fale, budowle miały okna, dachy, a drzewa liście. Wokół nas rosną stosy szkielec i kolorów oraz przydzielonych do nich szablonek. Teraz następuje najtrudniejsza praca – wycięcie każdego kawałka według kształtu szablonu. Bywają proste, ale są też zawijasy. Skrzypi szkło, skrzypi diament którym nacinamy szkło, słychać chrobotanie obcążków, kiedy mocne wgłębienie chcemy dokładnie wyciąć według kształtu szablonu. Stół jest cały w wyciętych szkiełkach” – pisał w mediach społecznościowych.

Zanim młody Owsiak trafił do pracowni Teresy

Reklewskiej, próbował dostać się na Akademię Sztuk Pięknych. Nie udało się. Zamiast tego trafił do wojska. Po zakończeniu służby wojskowej skończył kurs psychoterapeutyczny prowadzony przez Jacka Santorskiego i Wojciecha Eichelbergera, a następnie znalazł pracę w ośrodku dla dzieci po wyrokach. Urzędnicy uznali placówkę za nadto nowatorską (jedną z metod terapii była arteterapia) i zarządzili jej zamknięcie. Młody Jerzy znalazł więc na siebie inny pomysł: zaczął robić witraże. Wspominał to po latach następująco: „Mój przyjaciel Jan Kelus, bard podziemnej Polski, powiedział, że jest robota w pracowni witraży. Podobno płacą cztery tysiące. To były bardzo dobre pieniądze. Kiedy otworzyłem własną pracownię, Polska przeżywała regres lat 80., w sklepach był tylko ocet, te witraże szły więc świetnie. Przynosiłem do domu góry forsy. Pieniądze były nam potrzebne, bo miałem już rodzinę – żonę i córkę (...)”.

Gdy nauczył się fachu, prowadząc już własną pracownię, produkował lampy typu „Tiffany”. Na zamówienie Lecha Wałęsy, ówczesnego prezydenta, wykonał między innymi witraż w kaplicy w Belwederze.

Michał Śmierciak

źródła: goniec.pl; pl.aleteia.org



DAJ SIĘ

ugościć
w Małopolsce

Daj się ugościć zimą w Małopolsce!

Czy Małopolska to dobre miejsce na zimowy wypoczynek? Zdecydowanie najlepszy! To właśnie w Małopolsce zima trwa najdłużej w całym kraju, a ponad 150 km narztostrad, blisko 60 stacji i ośrodków narciarskich, liczne trasy biegowe i masa aktywności pozwolą Wam doświadczać tej zimowej aury jeszcze bardziej! Zima w Małopolsce to najpiękniej położone trasy narciarskie, małe i duże szlaki spacerowe, psie zaprzęgi, tradycyjne kuligi, baseny termalne, lokalne smaki i odkrywanie ciekawostek regionu znanymi i nieznanymi ścieżkami.

Małopolska na rodzinny wyjazd jest najlepszym prezentem, jaki możesz sobie podarować tej zimy. Świetnie przygotowane ośrodki narciarskie, kilkadziesiąt kilometrów wido-

kowych tras narciarstwa biegowego, profesjonalne snowparki dla snowboardzistów, górskie trasy skiturowe, liczne szlaki, a także tory saneczkowe i lodowiska – aktywność w zimowej Małopolsce to słowo klucz.

W tym sezonie Jaworzyna Krynicka przygotowała dla miłośników zimowego szaleństwa nowe nartostrady, snowpark, SkiCross, nowe skrzydło dolnej stacji z narciarskim zapleczem, strefę ApresSki oraz innowacyjny system naśnieżania, który jeszcze bardziej umili jazdę. Zimowych atrakcji nie brakuje również w malowniczym Tyliczu. To idealne miejsce dla amatorów aktywnego wypoczynku, ale także dla tych szukających spokoju i kontaktu z naturą. Centrum Narciarskie Master Ski może pochwalić się nową 6-osobową koleją krzesełkową i wyciągiem taśmowym. Na narciarzy

czeka także Funpark oraz Snowpark.

Nie umiesz jeździć na nartach, ale chcesz spróbować swoich sił w tym sporcie? Na największych stacjach narciarskich w regionie m.in. w Zakopanem, Bukowinie Tatrzańskiej, Białce Tatrzańskiej, czy Krynicy-Zdrój, czekają na Ciebie wykwalifikowani instruktorzy, którzy służą swoim doświadczeniem, wiedzą i opieką.

Małopolska to istny raj wędrowników! 6 parków narodowych i aż 11 parków krajobrazowych, biegnących po najcenniejszych przyrodniczo oraz krajobrazowo terenach, będą idealnym pomysłem nie tylko na zaczerpnięcie świeżego powietrza, ale przede wszystkim – na doświadczenie piękna.

Małopolska jest dobra na każdą porę roku, ale zimą jej czarodziejska aura sprawia, że jakoś mocniej chce się tu być i dotykać tej śnieżnej urokliwości wszystkimi zmysłami. Małopolska zaprasza Cię w tę zmysłową podróż już teraz. Dasz się ugościć?



PRODUCENT
WYSKOJAKOŚCIOWYCH
KONCENTRATÓW
OWOCOWYCH



Wszyscy ludzie **dts**

*„Jeżeli coś wydaje się niemożliwe do zrobienia,
to musi przyjść ktoś, kto o tym nie wie i to zrobić”*

Tak właśnie było w przypadku DTS.

Przyszli Oni i zrobili to, co wydawało się niemożliwe do zrobienia!

Tomasz Aleksander, Jakub
Antoniak, Alicja Augustyn, Paweł
Augustyn, Waldemar Bałda,
Angelika Baran, Bożena Baran,
Maria Baran, Martyna Baran,
Milena Baran, Szymon Belski,
Tatiana Biela, Tomasz Binek,
Fabian Błaszkiwicz, Tomasz
Bocheński, Leszek Bolanowski,
Wiesława Borczyk, Aneta
Buczek-Bogacz, Anna Bugajska,
Jolanta Bugajska, Antoni Bugajski,
Jacek Bugajski, Jakub Bulzak,
Jerzy Cebula, Irena Cepielik,
Wojciech Chmura, Elżbieta
Cholewa, Monika Chrobak, Jakub
Ciećkiewicz, Jerzy Cierpiatka,
Małgorzata Cygnarowicz,
Czesław Czarnecki†, Bożena
Damasiewicz, Piotr Drożdżik,
Alina Dziewięcka, Beata Frohlich,
Magdalena Furmanek-Kopiec,
Aniela Gajdosz, Katarzyna
Gajdosz-Krzak, Barbara Gieroń,
Anna Głód, Andrzej Godny, **Jan
Gonciarz**†, Igor Gorzawski, Piotr
Gorzawski, Michał Gorzkiewicz,
Kinga Gruca, Piotr Grześków,
Dariusz Grzyb, Jacek Gucwa,
Mariusz Hamiga, Halina
Hejmej, Aneta Jacak, Jakub
Janik, Krzysztof Jurkowski,
Sławomir Jurkowski, Katarzyna
Kachel, Andrzej Kadzik, Iwona
Kamieńska, Rafał Kamieński,
Krzysztof Kawa, Maria Kazana,
Marek Kmak, Wojciech Knapik,
Magdalena Koc, Emilia Kocemba,
Ryszard Kołtun, Anna Korczyk,
Marcin Korczyk, Joanna Korzeń,
Krzysztof Kościółek, **Monika
Kowalczyk**†, Barbara Kowalska,
Anna Krężelewska, Klaudia
Kulak, Rozalia Kulasik, Dawid
Kulig, Karol Kulig, Maciej Kurp,
Jolanta Kwiatkowska, Marek
Latasiewicz, Irena Legutko,
Szymon Leszczyński, Aleksandra
Leśniak, **Jerzy Leśniak**†, Paweł
Leśniak, Marek Lubaś, Mateusz
Łękawski, Wiktor Łęźniak,
Katarzyna Magiera, o. Stanisław

Majcher, Angelika Makoś,
Agnieszka Małecka, Adrian
Maraś, Rafał Matyja, Anna
Mika, Agata Miśkowicz-Wolak,
Rafał Miżejewski, Wojciech
Molendowicz, Rafał Mróz, Joanna
Myjak, Elwira Myśliwy, Małgorzata
Nazimek, **Ryszard Niemiec**†,
Kinga Nikiel-Bielak, Natalia
Nikiel, Krystyna Nosal, Adam
Nowakowski, Michał Nowosielski,
Przemysław Osuchowski,
Magdalena Paruch, Krystyna
Pasek, Kamila Pasiut, Ireneusz
Pawlik, Anna Pierzchała, Wiesław
Piksa, Magdalena Pis, Mateusz
Pis, Gabriela Piwowar, Piotr
Płachta, Zuzanna Płachta, Joanna
Polańska, Łukasz Połomski, Adam
Przybylski, Joanna Pych, Leszek
Rafalski, Dominka Reczek, Maria
Reuter, Jarosław Rola, Wojciech
Rola, Krzysztof Rosłoński, Jerzy
Sasorski, Natalia Sekuła, Paweł
Skierski, Róża Skoczeń, Ewelina
Skowron-Ściurka, Krystyna Słaby,
Michał Słowik, Katarzyna Smoleń,
Michał Sokołowski, Ewa Stachura,
Maria Halina Starzyk, Stanisław
Stawiarski, Marek Stawowczyk,
Alicja Stolarczyk, Krzysztof
Stopka, Kinga Studzińska,
Dominika Szafraniec, Bartosz
Szarek, Sylwia Szczepaniak,
Justyna Szczypuła, Paweł Szeliga,
Remigiusz Szurek, Bogumiła
Śliwa, Michał Śmierciak, Kamil
Świątek, Piotr Tokarz, Filip
Tomoń, Katarzyna Tomoń, Marta
Tyka, Dominik Tymczyszyn,
Bartłomiej Wawrzyniak,
Wiesław Wcześny†, **Daniel
Weimert**†, Mateusz Węglowski-
Król, Tadeusz Węglowski-Król,
Jerzy Wideł, Marek Winiarski,
Gabriela Wolińska, Magdalena
Woźniak, Maja Woźniak, Anna
Wrona, Sławomir Wrona,
Bożena Zagórowska, Dorota
Zajęc-Legutko, Leszek Zegzda,
Beata Ziemba, Dominika
Ziemba, Julia Ziemba.